NR 03 | GRUDZIEŃ 2017

adeste

Pragnę, szukam, wierzę

(BEZ)NADZIEJNY CHRZEŚCIJANIN?

www.adeste.eu

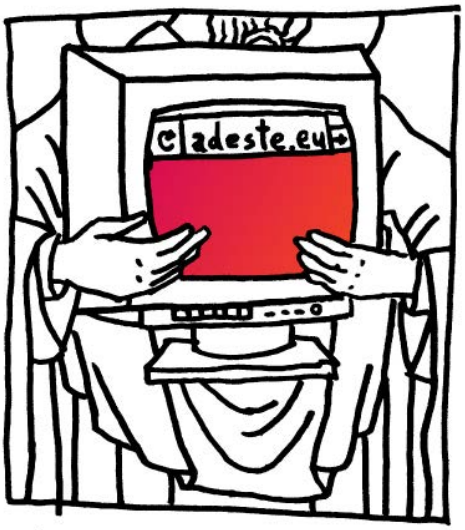

ŚW. MONITOR POLECA

adeste+
Pragnę, szukam, wierzę

Adres do korespondencji:

Łapiguz 73, 22-400 Zamość
tel. 515 244 234
redakcja@adeste.eu

Wydawca i Redaktor Naczelny:
Bartłomiej Jan Wojnarowski

Redaguje zespół w składzie:
Kamil Przemysław Mańka (z-ca redaktora naczelnego ds. redakcji i jakości)
Anna Małgorzata Gawlik (z-ca redaktora naczelnego ds. organizacji i zarządzania)
Piotr Ulrich (sekretarz miesięcznika)
Michał Gójski, Dk. Mateusz Kopa, Tomasz Leszczyński, Konrad Myszkowski, Michał Sadowski (szef działu kultura i społeczeństwo), Piotr Władysław Sudoł,
Współpracownicy:
Krzysztof Dziatlik, Nina Małgorzata Kogut, Szymon Kozieja, Marta Kozłowska, Marcin Kozłowski, Piotr Krajski Michał Marcin Lewandowicz-Bucholc, Mateusz Rezler, Bartłomiej Witeszczak i inni

Grafik główny: Tomasz Łukasik - it@adeste.eu
Skład gazety w .pdf: Emilia Witkowska, Zuzanna Sokalska
Skład gazety w rozszerzeniach .mobi i .epub: Maciej Andrzej Laskowski - maciej.laskowski@adeste.eu
Webmasterzy strony www.adeste.eu: Tomasz Leszczyński - it@adeste.eu, Katarzyna Bigaj
Wsparcie serwerowe: Norbert Bryłka
Rysownik i art-designer: Marcin Kozłowski
Media consulting: Mateusz Nieścierowicz
Dział korekty:
Zuzanna Sokalska (koordynator korekty), Anna Gawlik, Anna Warzecha, Magdalena Węglarz.
Dział rozwoju i promocji:
Anna Piontek - szef działu rozwoju i promocji - promocja@adeste.eu
Norbert Bryłka, Tomasz Łukasik, Marcin Kozłowski
Przemysław Kucharek, Tomasz Kumięga, Remigiusz Pajor-Kubicki
Piotr Władysław Sudoł- promocja@adeste.eu,
Ponadto beta-testerzy i post-korekta

A także każdy, kto modliwą, pomocą, wsparciem technicznym, finansowym czy organizacyjnym przyczynił się do rozwoju tego dzieła.
+AMDG!+

Wydawca: Bartłomiej Wojnarowski, Łapiguz 73, 22-400 Zamość, Lubelskie

rys. Zofia Bryłka

A światłość w ciemności świeci i ciemność jej nie ogarnęła

J 1,5

Spis treści

FELIETON WSTĘPNY
Nadzieja – zapomniana cnota
Kamil Mańka 4

HAGIOGRAFIA
Wobec cierpienia i choroby, czyli włoskie przypadki młodej świętości
Ks. Dawid Tyborski 8

WYWIAD NUMERU
Misje to nie wakacje, to ekstremalne „wstanie z kanapy"
Krzysztof Dziatlik 14

WIARA
O! Pan przybywa
Piotr P. Ulrich 20

W Tobie Panie zaufałem
Piotr Władysław Sudoł 27

Bramy piekielne go nie przemogą
Konrad Myszkowski 32

Nadzieję oddaję ludziom
dk. Mateusz Kopa 36

KULTURA
Wiara w dniach, które nadejdą
Michał Sadowski 45

Młody papież popu
Piotr Krajski 49

Tatko! Tatko! Gody idą – jużci prawdę mówię!
Szymon Kozieja 54

Czy katolik może słuchać Megadeth?
Nina Małgorzata Kogut 58

ROZMOWY
Otwarte koperty
Anna M. Gawlik i Krzysztof J. Namyślak 66

SPOŁECZEŃSTWO
Z papieżem do łóżka
Mateusz Rezler 69

Czy dobry katolik może być terapeutą?
Anna M. Gawlik 75

Flagi czerwone od krwi chrześcijańskiej
Jakub K. Lesner 79

FELIETON KOŃCOWY
Cisza jest pełna Słowa
Tymoteusz Pyda 84

Słowo wstępne
Redaktora Naczelnego

„Wiemy przecież, że całe stworzenie aż dotąd jęczy i wzdycha w bólach rodzenia. Lecz nie tylko ono, ale i my sami, którzy już posiadamy pierwsze dary Ducha, my również całą istotą swoją wzdychamy, oczekując przybrania za synów – odkupienia naszego ciała" (Rz 8, 22–23)

Drodzy Czytelnicy miesięcznika „Adeste"!

Adwent. Słowo, w którym kryje się nadzieja, oczekiwanie i radość, ale także ból, samotność i poczucie przegranej. Adwent jest niejako skumulowaną historią Kościoła i całego Ludu Bożego od Abrahama aż do dnia, który nie będzie miał końca. To czas, w którym patrzymy w przeszłość, bo z niej możemy się wiele nauczyć, ale chcemy również iść do przodu.

Adwent to także czas mroku i wątpliwości. Przeżywamy go w okresie, gdy noc zapada szybko, a dzień wstaje późno i ciężko. Jesteśmy w nim zaproszeni do konfrontacji ze swoimi wątpliwościami, bólem oraz z tym, co jeszcze jest niezrozumiałe.

Te myśli przyświecały nam, gdy tworzyliśmy trzeci numer miesięcznika „Adeste". Opowiemy w nim o nadziei, wątpliwościach, oczekiwaniu. O poczuciu kryzysu i tego, czy może on być szansą. Chcemy spojrzeć na Adwent jako na czas, w którym z mroku historii Ludu Bożego i naszych błędów wyłania się Światło.

Dlatego prosimy każdego z naszych Czytelników o modlitwę, aby „Adeste" było napędzane pasją wiary i przekonaniem, że On jest z nami.

Niechaj ten Adwent będzie czasem duchowego oddechu, nadziei i przekonania, że Pan nigdy nas nie opuszcza.

Z modlitwą +

Bartłomiej J. Wojnarowski
Redaktor Naczelny miesięcznika „Adeste"

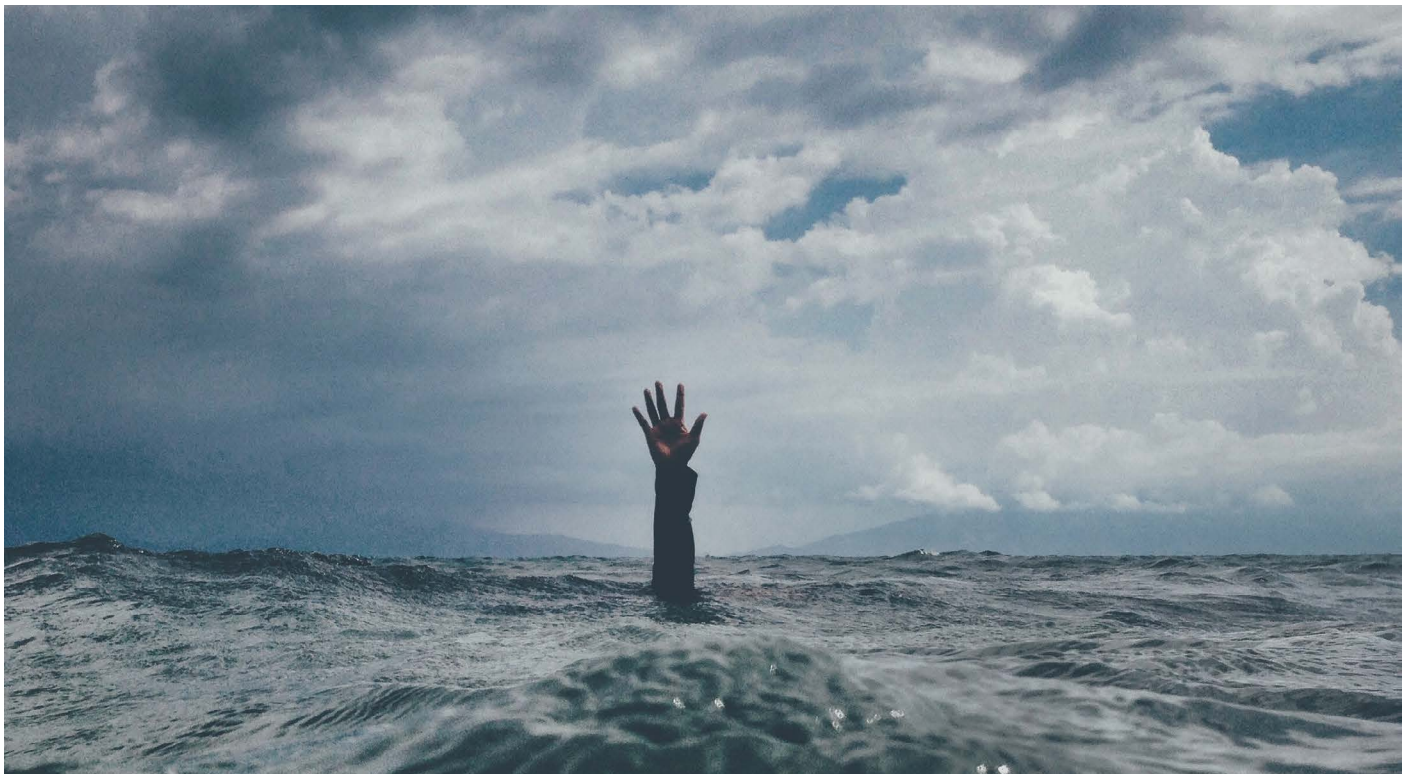

Nadzieja – zapomniana cnota

Kamil Mańka

Nadzieja nie jest czymś, co nam się przydarza bez naszej woli, ale tym, czego możemy się uczyć i powinniśmy w sobie kształtować. Jednak nadzieja to trudna sztuka. Co trzeba wiedzieć, by podjąć się pracy nad nią?

Nadzieja to cnota zaniedbana. Dużo możemy usłyszeć o wierze w świecie, który ją traci, gdyż kontrast pomiędzy tymi, którzy ją posiadają, a tymi, którzy ją tracą, powiększa się. Dużo możemy usłyszeć o miłości, chociaż bardzo często o miłości, jako o uczuciu (łac. „amor") lub jako o wyrazie bycia bliżej niezdefiniowanym „dobrym człowiekiem", ale nie o bezinteresownej, ofiarnej miłości na wzór Jezusa (łac. „caritas", gr. „agape"). Gdybyśmy mieli z szumu informacyjnego, jaki nas otacza, wyłowić trzecią naczelną cnotę, którą ma posiadać człowiek, nigdy byśmy nie wpadli na to, że jest to nadzieja. Prędzej być może „wolność", cokolwiek ona miałaby znaczyć, w każdym razie więcej się o niej mówi, niż o nadziei. Dlatego nadzieja jest jakby zapomnianą cnotą i niestety konsekwencje tego stanu łatwo zaobserwować wokół nas.

Omawiając swoją teorię cnót Arystoteles uczy nas, że nieustannie podlegamy ryzyku popadania w kuszące skrajności. Mówi na przykład, że męstwo nie jest zaledwie przeciwieństwem tchórzostwa, ale jest mądrą drogą biegnącą środkiem pomiędzy skrajnościami tchórzostwa i brawury. Nadmiar cnoty może być jej wykrzywieniem w tym samym stopniu, co jej niedostatek. Trzeba wiedzieć, kiedy dzielnie stanąć do walki i kiedy mądrym jest się z niej wycofać. To spostrzeżenie Arystotelesa pomoże nam

spojrzeć na nadzieję w nowy sposób, a przede wszystkim dostrzec, że w świecie wokół nas dominują raczej jej wykrzywienia.

Czysta rozpacz

Najłatwiejszy do rozpoznania jest oczywiście brak nadziei. Każdego dnia bombardują nas złe wiadomości i one przejmują kontrolę nad naszymi wyobrażeniami o rzeczywistości. Obawiamy się tak wielu rzeczy: wojny, kryzysu ekonomicznego, choroby. Przyszłość jawi się jako niepewna. Świat chwieje się w posadach, może zaraz runie. Jedną z reakcji na odbiór takich komunikatów jest zwyczajna rozpacz, utrata nadziei. Gdy nad tym się zastanowimy, możemy zobaczyć, że nadzieja jest ściśle związana z poczuciem sensu. Jeśli mamy nadzieję, widzimy sens w naszym działaniu, a jeśli nawet akurat nie możemy działać, to przynajmniej widzimy sens w tym, by znosić różne trudności. Gdzieś tam na horyzoncie przynajmniej jawi się przyszłość czy obietnica spełnienia lub odmiany naszego losu. Nadzieja sprawia, że nie poddajemy się. Rozpacz to kapitulacja.

Nasze czasy są czasami depresji. Nie chciałbym tu wchodzić w jej źródła, ale sama powszechność jest wyraźnym znakiem kryzysu i jest to kryzys sensu. Nadzieja zawodzi, gdy jest ulokowana w czymś, co może ulec zmianie. Jeśli pokładamy nadzieję w swoim zdrowiu, będziemy zawiedzeni, gdy i ono zawiedzie. Jeśli liczymy, że szczęście przyniesie nam ostatecznie praca, kłopoty jej dotyczące podkopią naszą pewność. Oczywiście nieustannie wiążemy swoją nadzieję z tego rodzaju rzeczami i nie ma w tym nic złego. Co jednak zrobimy, gdy one zaczną zawodzić i okaże się, że nie pozostała nam żadna nadzieja? Często podskórnie czujemy, że pod wieloma naszymi doczesnymi nadziejami nie znajduje się nic trwalszego, że stąpamy po powietrzu i tylko staramy się odwrócić swoją uwagę od tego przerażającego faktu. Żyjemy w napięciu, które nas powoli od środka rozbraja. Jednak twarda rzeczywistość prędzej czy później nas dopada.

Wszystkie powyższe spostrzeżenia pozwalają nam uświadomić sobie, dlaczego chrześcijańska nadzieja jest łaską, tzn. zjawiskiem nadprzyrodzonym. Żeby żyć w pokoju, ostatecznie potrzebujemy niewzruszonych gwarancji, zapewnienia niezależnego od otaczających nas okoliczności. Jeśli martwimy się o stan lub los Kościoła i ufamy, że taki lub inny rozwój wypadków poprawi jego sytuację, możemy się zawieść i to wielokrotnie. Ale gdy wierzymy, że los Kościoła nie jest ostatecznie uzależniony od działań tych, którzy mu szkodzą lub od wysiłków tych, którzy go wspierają, tylko od niezmiennej obietnicy Pana tego Kościoła, zawsze wiemy, że bez względu na wszystkie zawody przyszłość jest w dobrych rękach. Nie musimy wszystkiego wiedzieć i wszystko rozumieć, by nie żyć w strachu i niepewności.

Dlatego podstawą nadziei jest wiara i naturalnie tak to też realizuje się w naszym własnym życiu. Jeśli nasza ostateczna troska orientuje się wyłącznie na doczesne życie i jego trudy, łatwo możemy popaść w rozpacz. Ale jeśli zdamy sobie sprawę z tego, że Boża opatrzność czuwa nad nami, że widzi ona więcej i dalej niż my i zamierza dla nas ostateczne szczęście, to niestraszne nam będą różne trudne doświadczenia. Nie zawsze wiemy, co Bóg robi, ale on wie, co robi, a my Jemu ufamy.

Desperacja

Człowiek w akcie desperacji jest zdolny do najbardziej

radykalnych kroków. Może mieć to dobry skutek: gdy ktoś utracił wiarę w sens swoich działań, ale z desperacji ostatkiem sił postępuje tak, jakby miały sens. Można by to nazwać rodzajem heroizmu, jeśli to postępowanie byłoby dobre. Duże jest tutaj jednak ryzyko czegoś zgoła przeciwnego: człowiek zdesperowany traci zupełnie orientację w swych działaniach i dopuszcza się czynów wątpliwych moralnie, nieraz zbrodni. Czasami, gdy wydaje nam się, że zagrożenie jest wielkie lub klęska niemal pewna, gotowi jesteśmy zawiesić wszelkie zasady, by się przeciwstawić fatum. Jest to wyraz utraty nadziei – to, na co liczyliśmy, nie ma szansy spełnienia w normalny sposób, więc postanawiamy temu „pomóc". De facto liczymy już tylko na siebie, a nie coś poza nami.

Desperacja na szczęście nie jest czymś powszechnym, ale przypomnieniem, dlaczego nasza ostateczna nadzieja powinna być zawsze nadzieją pewną i zdrową. Niebezpieczeństwo desperacji pojawia się, gdy ogromne oczekiwania mamy wobec czegoś, co bardzo łatwo może zawieść. Jeśli nasze życie to hazard, możemy znaleźć się łatwo w takim położeniu, które skłoni nas do zrobienia rzeczy, których nigdy byśmy normalnie nie uczynili. Budowanie swojego życia na twardych podstawach, począwszy od duchowych, może nas od tego ustrzec.

Bierność i eskapizm

Innym przejawem aberracji nadziei, tym razem w pewnym sensie jej nadmiaru, jest rezygnacja i bierność. Pokładamy ufność w Bogu tak bardzo, że stwierdzamy, że zostaliśmy przez Niego zwolnieni z działania. Jeśli dzieje się źle, to nie nasza sprawa, bo my ufamy Bogu, że nas uratuje bez naszego wkładu. Skrajną odmianą tej postawy jest eskapizm, gdy wręcz odczuwamy niejaki wstręt względem angażowania się w trudne zadania, w działania, które mogłyby odmienić sytuację naszą lub innych. Liczymy, że rozwiązanie problemu leży w Bogu, ale rozumiemy to tak, że Bóg jest ponad i poza tą sytuacją, a nie w samym jej środku. Nie widzimy, że być może Bóg czeka, aż umocnieni w nadziei złożonej w Nim wkroczymy wraz z Nim do akcji, pewni Jego wsparcia.

Eskapizm to odebranie nadziei jej prawdziwej mocy. Nadzieja ma prowadzić do działania, ma być tym, co nas napędza, popycha do przodu. Ona z jednej strony pokazuje, że obecny zły stan rzeczywistości nie jest ostateczny, ale z drugiej strony przypomina,

że obiecane przez nią spełnienie nie jest czymś oderwanym od tej rzeczywistości, a ziści się jako jej przemiana. Eskapizm próbuje usunąć napięcie, które nadaje nadziei tę zbawczą i odkupieńczą dynamikę. Rzeczy mają się kiepsko i chcemy je zostawić takimi, uciec przed nimi. Nadzieja jednak mówi: rzeczy mają się źle, ale jest sens walczyć, by je zmienić.

Utopia

Można by powiedzieć, że ludzie, którzy projektują utopie są zdecydowanie ludźmi nadziei: wszak mają zwykle bardzo konkretną wizję tego, ku czemu dążą i w co wierzą, a zatem wykazują się dużym zaangażowaniem w osiągnięcie tego celu. A jednak jest coś, co czyni utopijne nastawienie przeciwieństwem nadziei. Jest to odrzucenie wprost lub w domyśle elementu nadprzyrodzonego, tego, który przekracza sferę naszych planów i działań, który od nas nie zależy. Utopiści usiłują pokonać nadzieję i w jej miejsce zaprowadzić pewność. Chcą usunąć elementy przypadkowości, losu, które są związane z samą znikomością i skończonością stworzenia, w tym człowieka.

W efekcie w istocie fundują tym, którzy wpadną ich ręce, świat pozbawiony nadziei, świat wszechmocy człowieka, w którym chce on kontrolować to, czego nie może ostatecznie poddać swojej absolutnej kontroli, choćby drugiego człowieka.

Dlatego utopie wcielone w życie kończą się strasznymi zbrodniami dokonywanymi w celu podporządkowania rzeczywistości planowi. W naszym prywatnym życiu, w mniejszej skali podlegamy również pokusie totalnego planowania, gdy chcemy wykluczyć przypadek, zaskoczenie, gdy nie możemy się zgodzić na żadną niedoskonałość własną lub bliźnich. Uciekając przed nieszczęściem i cierpieniem często zamieniamy życie innych w piekło. Ostatecznie taka totalna kontrola jest lustrzanym odbiciem eskapizmu. Łączy je to, że próbują usunąć problem cierpienia, nieszczęścia, przypadku. Eskapizm je ignoruje, unika zmierzenia się z nimi. Utopia próbuje je wymazać z powierzchni ziemi. Ale prawdziwa nadzieja zakłada je, odnosi się do nich, nie ma nadętej ambicji ich kompletnej eliminacji i przez to jest znakomitym narzędziem kształtowania wewnętrznego człowieka. Nadzieja uczy nas żyć twórczo z trudnościami, które nas dotykają tak, by to spotkanie stało się dla nas zbawienne.

Zbawieni nadzieją

Nadzieja, wraz z wiarą i miłością, zbawia. W swojej encyklice „Spe salvi" papież Benedykt XVI wskazuje sposoby na to, jak człowiek może uczyć się takiej zbawczej nadziei mówiąc o modlitwie, cierpieniu i Sądzie Ostatecznym. Ale ważne jest tutaj założenie: nadziei można i trzeba się uczyć. Nie trzeba tego pozostawiać przypadkowi, nie trzeba liczyć na to, że w chwili kryzysu pojawi się ona znikąd. Nadzieja to cnota, a więc można się jej uczyć, można się w niej ćwiczyć. Musimy jednak zawsze szukać tego złotego środka, w którym nasza nadzieja jest autentyczną nadzieją, taką, która nie zawodzi, nie nadyma, nie znieczula, nie usypia. Potrzebna nam nadzieja ugruntowana na autentycznej wierze w Boże objawienie i zagrzewająca nas do działania. Z taką nadzieją, choćbyśmy siali ze łzami, będziemy żąć w radości (Ps 126, 5).

Zainteresował Cię mój artykuł?
Masz jakieś pytania?
Napisz do mnie na:
kamil.manka@adeste.eu

Wobec cierpienia i choroby, czyli włoskie przypadki młodej świętości

ks. Dawid Tyborski

Piękna, młoda i wysportowana, pełna pasji dziewczyna, która każde swoje zdjęcie ma naznaczone uśmiechem. Pasjonat informatyki, podróżnik i twórca stron internetowych, który oddał się bez reszty Bogu. Lubiany i wrażliwy włoski licealista. Wydawać by się mogło, że przed nimi świat stoi otworem. Jednak choroba, cierpienie i śmierć, w oczach człowieka, pokrzyżowały dalekosiężne plany i marzenia. Czy aby na pewno?

Bardzo często święci są dla nas odlegli. Nie tylko z tego powodu, że większość z nich żyła kilkaset lat przed nami, ale również dlatego, że często ich życiorysy są tak heroiczne i fantastyczne, że bliżej im legend niż człowieka z krwi i kości. Nasi bohaterowie jednak umarli kolejno w 1990, 2006 i 2009 roku. Poznamy ludzi, którzy są często młodsi od nas, a jeden z nich urodził się w tym samym roku co ja. Oto historie 3 niezwykłych, młodych osób, które uczą dorosłych pokory.

Dziewczyna, która była światłem

Klara Badano była wymodlonym dzieckiem. Państwo Badano długo starali się o potomstwo, lecz bezskutecznie. Po latach gorących modlitw przyszła na świat ona – piękna Klara, czyli po łacinie „jasna”. Szczęśliwa rodzina bez reszty zaangażowała się w doglądanie małej, nawet mama zwolniła się z pracy, aby całkowicie oddać się wychowaniu swojej

córki. Była oczkiem w głowie rodziny, sąsiadów, znajomych. Szczególnie znamiennym dla życia Klary było spotkanie z jej imienniczką – Chiarą Lubich. Kiedy miała 9 lat cała rodzina przystąpiła do ruchu Focolari. Co więcej, Chiara widząc swoją małą imienniczkę, nadała jej przydomek „Luce", co oznacza światło. I ta anegdota okazała się prorocza.

Jako nastolatka Chiara okazuje się nad wyraz dojrzała, a szczególną radość znajduje w modlitwie i bliskości Boga. Nie, nie oznacza to, że była wyalienowana czy odległa od innych dziewczyn. Uwielbiała się bawić, spotykać, miała problemy z nauką, kłóciła się z rodzicami, wychodziła wieczorami do kawiarni ze znajomymi. Uwielbiała tenisa, pływanie, wycieczki górskie. Interesowała się kosmetykami, podróżami, poznawaniem nowego. Jednak w jej sercu ciągle trwa dialog. W liście do Chiary Lubich pisze: „Odkryłam, że Jezus opuszczony jest kluczem do jedności z Bogiem i chcę Go wybrać jako mojego jedynego Umiłowanego i przygotować się na Jego przyjście. Wybierać Go!". Ciągły głód i pragnienie Boga nie dają jej spokoju, ciągle szukała, ciągle starała się uchwycić nienazwaną potrzebę serca.

Klara przeżywała też młodzieńcze zakochanie w koledze imieniem Luca, ale ciągle czuła, że to nie daje jej ani pokoju serca, ani nie jest odpowiedzią na jej najbardziej głębokie i wewnętrzne pragnienia, dlatego rozstała się ze swoim absztyfikantem. Problemy w szkole też się piętrzyły. Klara nie zdała matematyki i musiała powtarzać klasę. Jednak nie poddała się i podjęła wyzwanie. Niedługo jednak przyszła o wiele cięższa próba.

Światłość w ciemności świeci

Jak co wakacje Klara grała z przyjaciółmi w tenisa. Nagle zaczęła odczuwać ból w ramieniu. Myśląc, że to efekt przeciążenia grą, nie przejęła się zbytnio bólem. Jednak po wielu dniach ból nie ustępował, więc postanowiła się przebadać. Wyniki wprowadziły całą rodzinę w przerażenie. Padły słowa o ciężkości wyroku skazującego: rak kości z przerzutami. Po dłużej chwili ciszy i konsternacji, Klara uśmiechnęła się i powiedziała: „będzie dobrze!". To zapewnienie jednak nie dało spokoju rodzinie. Sytuacja jest na tyle poważna, że Klara musiała pozostać w szpitalu. Tam poznała dziewczynę uzależnioną od narkotyków i z głęboką depresją. Zaprzyjaźniła się z nią i towarzyszyła jej przez cały czas, pomimo bólu spowodowanego przerzutami na kręgosłup. Na początku rodzina przychodzi, aby być z Klarą i pocieszać ją, ale szybko zrozumieli, że to oni przychodzą do swojego „światełka" po siły. Rodzina, personel szpitala, pacjenci... wszyscy lgnęli do Klary. Doktor Antonio Delogu powiedział: „Swoim uśmiechem i wielkimi, pełnymi światła oczyma pokazuje, że śmierci nie ma, a jest tylko Życie".

Klara przeszła dwie operacje, przyjmowała chemię, straciła włosy, które bardzo lubiła układać; każdy stracony (z powodu chemii) pukiel włosów oddawała jako ofiarę dla Pana Jezusa. Niestety leczenie nie przynosiło żadnego rezultatu, ból się nasilał, Klara słabła, ciągle jednak starała się być pomocna, ofiarna, dodawała sił innym pacjentom. Coraz częściej rozważała mękę Pana Jezusa i pragnęła się z Nim łączyć. W pewnym momencie odmówiła przyjmowania morfiny, mówiąc: „Odbiera świadomość, a ja mogę ofiarować Jezusowi jedynie cierpienie. Chcę dzielić z Nim jeszcze przez trochę Jego Krzyż". Kiedy była już przykuta do łóżka, ciągle powtarzała: „mam jeszcze serce, którym mogę kochać!”.

Matteo Farina

Światło idzie do Światłości

Klara czuła zbliżającą się śmierć, jednak postanowiła, że nie będzie to w żadnym stopniu smutny moment. Nazwała nieuchronne „zaślubinami z Oblubieńcem”. Z entuzjazmem panny młodej planowała swój pogrzeb. Wybrała sukienkę, kwiaty, pieśni, czytania mszalne... wszystko miało być dopięte na ostatni guzik. Kiedy wszystko było już gotowe i zaplanowane, Klara opadła całkowicie z sił. Wezwano całą rodzinę i przyjaciół. Jej ostatnie słowa do mamy to: „Ciao. Bądź szczęśliwa, bo ja jestem szczęśliwa”. Sława świętości natychmiastowo rozprzestrzenia się po okolicy, a biskup miejsca, Livio Maritano, po ośmiu latach od śmierci Klary, otwiera proces beatyfikacyjny. Młoda oblubienica Jezusa opuszczonego została beatyfikowana w 2010 roku.

Dzielny młodzieniec

Na kilka dni przed śmiercią Klary we włoskim miasteczku Avelino rodzi się Mateusz Farina. Jednak przyjmuje chrzest i dorasta w Brindisi. Daje się poznać jako dziecko wrażliwe na piękno otaczającego go świata i czułe na wdzięk muzyki. Sam zresztą lubił grać na różnych instrumentach wraz ze swoją siostrą Eriką. Rodzicie bardzo dbali o edukację religijną, a sam Mateusz bardzo się angażuje w swoją parafię, którą prowadzą do dzisiaj oo. kapucyni. Kwestie wiary były dla Mateusza już od dzieciństwa szczególnie umiłowane. Codziennie czytał Pismo Święte i modlił się różańcem. Nie są to szczególnie częste praktyki spotykane u dzieci, jednak dla Mateusza były niezwykle cenne. W 2000 roku przyjmuje Komunię Świętą, a trzy lata później sakrament Bierzmowania. W tym też roku pojawiają się dziwne bóle głowy, które cały czas się nasilają tak bardzo, że Mateusz miał problemy ze wzrokiem. W tym okresie zaczyna też pisać

duchowy dziennik, w którym spisuje swoje myśli i przeżycia.

Młodzieniec na polach bitewnych

Mateusz musiał się zmierzyć z dwoma problemami, które trapiły jego serce. Po pierwsze choroba, która zaczęła go ograniczać, a którą lekarze rozpoznali jako guza mózgu. Drugim problemem, który nie dawał mu spokoju, był zanik wiary u rówieśników. W swoim dzienniczku zapisał: „Mam nadzieję, że uda mi się zrealizować moją misję »wtyczki« wśród młodzieży, mówiąc o Bogu; obserwuję moje otoczenie, by wejść do niego tak cicho jak wirus i zarazić wszystkich nieuleczalną chorobą, jaką jest Miłość!". Ciągle szukał okazji do zaczepiania, rozmowy, wspólnego spędzania czasu z rówieśnikami, zaangażowania się w dzieło misyjne, kult Niepokalanego Serca Maryi, Najświętszego Serca Jezusa, krąg biblijny... wiedział, że nie ma szczególnie dużo czasu i wiedział, że chce go wypełnić po brzegi miłością. Jedynym celem reszty jego życia było zdobywanie dusz. Jak sam pisał: „Masz ochotę wykrzyczeć przed całym światem, że gotów jesteś zrobić wszystko dla twego Zbawiciela, że gotów jesteś cierpieć dla zbawienia dusz umrzeć za Niego". Te słowa wypełniły się w jego życiu całkowicie.

Choroba jednak postanowiła poprzeszkadzać trochę w misyjnej działalności Mateusza. Komplikacje były poważne, wyniki bardzo niejasne i lekarze podjęli decyzję, aby wysłać młodego apostoła do Hannoveru. Tam zaobserwowano u niego zmiany nowotworowe w mózgu. Gwałtowny atak choroby, który czasowo uszkodził mu wzrok, zatrzymał go na onkologii. Przez 40 dni Mateusz musiał przyjmować radio i chemioterapię. Kiedy stan wydawał się być ustabilizowany, otrzymał zgodę na powrót do domu. Bitwa wydawała się wygrana, choć Mateusz czuł, że to nie koniec zmagań, jednak cieszył się, że może poświęcić więcej energii na ewangelizację. Przez kolejne dwa lata zdrowie się poprawia, a im bardziej sytuacja zdrowotna się polepsza, tym więcej sił nasz młodzieniec wkłada w głoszenie Bożej Miłości.

Jest początek 2008 roku, bóle głowy wróciły, a badania kontrolne nie pozostawiły złudzeń – nastąpił nawrót guza mózgu. Co robił Mateusz? Uśmiechał się i walczył dalej o zbawienie swoich rówieśników. Zaczytywał się w dziełach papieża Benedykta XVI, szczególnie chłonął encyklikę Deus Caritas est. Chciał być gotowy na spotkanie z Nieskończoną Miłością. Choroba, postępując, wywołała paraliż części ciała, ale nie zgasiła pogody ducha. Rodzina, przyjaciele i księża, zakonnicy z parafii – wszyscy byli zdumieni całkowitym poddaniem się woli Bożej, a fama świętości zaczęła się rozchodzić nie tylko po szpitalu, nie tylko po Brindisi, ale i dalej. Widząc przerażone i zmartwione miny swoich bliskich, mówił: "Musimy żyć każdego dnia tak, jakby to miałby być ostatni dzień. Jednak nie ze strachem przed śmiercią, ale z radością na spotkanie z Panem!".

Na krótko przed śmiercią wyznał swojej mamie, że wszystkie cierpienia, jakie musi znosić, ofiarowuje w intencji nawrócenia grzeszników i za zbawienie dusz. Dnia 13 kwietnia 2009 roku po raz ostatni przyjmuje Komunię Świętą. Umiera 10 dni później otoczony rodziną i przyjaciółmi, kapłanami, znajomymi, kolegami, personelem, których moment śmierci połączył i pozostawił ślad miłości, która jest silniejsza niż śmierć.

Carlo Acutis

Młody grafik komputerowy pomoże… Watykanowi?

Karol jest kilka miesięcy starszy ode mnie. Piszę „jest”, bo przecież w Bogu cały czas żyje. Urodził się w maju 1991 roku. Rodzina Karola Acutisa mieszkała w Wielkiej Brytanii. Jednak po urodzeniu dziecka stwierdzili, że wracają do ojczyzny. Babcia Karola urodziła się Polsce i nauczyła go kilku polskich słów. Zafascynowała go też postacią św. Jana Pawła II. Od najmłodszych lat, nawet jak na włoskie standardy, Karol wykazywał się pobożnością. Fascynowała go również informatyka, grafika komputerowa, podróże, pielgrzymki, historia i technika. Samodzielnie zakładał strony internetowe np. do dziś działająca strona o cudach eucharystycznych na świecie, o świętych dzieciach i świętej „młodzieży”. Pomagał też przy projektowaniu strony… Watykanu! Nie oznaczało to jednak, że spędzał czas tylko przy komputerze. Wręcz przeciwnie, prowadził aktywny tryb życia, wspinał się, zwiedzał, robił zdjęcia, udał się z pielgrzymką do wielu miejsc. Jego entuzjazm pchał go cały czas do przodu. Jeśli ktoś miał ożywić lokalną parafię i wprowadzać niezliczoną ilość energii i entuzjazmu, to mógł to być tylko Karol. I tak też było. Wszędzie, gdzie się pojawiał, wzbudzał zaangażowanie i energię.

Projekt zbawienie

Choć był kilkunastoletnim chłopakiem, wiele osób prosiło go o pomoc w zakładaniu stron internetowych i o… modlitwę. Jak najbardziej pomagał z jednym i drugim. Kiedy pytali się go jaki ma plan na życie, odpowiadał: „Być zawsze zjednoczonym z Jezusem, oto mój plan na życie”. A kiedy dopytywali się w jaki sposób je osiągnąć, powtarzał: „Eucharystia jest moją autostradą do nieba”. Z takim samym zaangażowaniem tworzył komputerowe algorytmy, co pomagał w stołówkach dla biednych. Karol zaczął spędzać coraz więcej czasu przed Najświętszym Sakramentem. Coraz mocniej czuł przynaglenie do bycia przy Chrystusie. Pewnego dnia nagrał filmik, w którym prosił o to, żeby pochować go w Asyżu. Pomysł wydał się bliskim dziwny, bo Karol nie wykazywał żadnych oznak

choroby. Za dwa miesiące jednak sytuacja miała się dramatycznie zmienić.

Badania kontrolne wykazały, że Karol zachorował na białaczkę. I to dość zaawansowaną. Przerażona rodzina nie miała pojęcia, w totalnej bezradności, jak zareagować, co powiedzieć, jak działać. Karol przecież miał niecałe piętnaście lat! On jednak przyjmuje wyrok choroby ze spokojem. Niestety, rozwija się ona dramatycznie szybko. Mały grafik komputerowy powtarza: „nasza meta musi być w nieskończoności, nie w tym, co skończone. Nieskończoność jest naszą Ojczyzną. Musimy być ciągle wpatrzeni w Niebo!". Choroba jednak nie hamowała jednak ani entuzjazmu, ani radości. Zdziwieni krewni pytali się go, czy się nie boi, skąd u niego taka siła i dlaczego podchodzi do nieuleczalnej choroby z taką oryginalnością. Odpowiadał: „Każdy rodzi się jako oryginał, ale wielu umiera jako fotokopie" i wiedział, że jego to nie dotyczy. Pomimo choroby i coraz większego cierpienia cały czas pozostawał sobą.

Żertwa ofiarna

Kiedy ciało nie nadążało za entuzjazmem duszy, a Karol był zmuszony cierpieć i leżeć w szpitalnym łóżku, po cichu powiedział do mamy: „ofiarowuję swoje cierpienie za zbawienie ludzi i za Ojca Świętego". Rodzina, która każdego dnia gromadziła się wokół szpitalnego łóżka Karola, pewnego dnia zadała pytanie, czy się nie boi tego, co nadchodzi. Karol im odpowiedział: „Cieszę się, że umieram, ponieważ przeżyłem swoje życie, nie marnując nawet jednej minuty na to, co nie podobałoby się Bogu". Walka od informacji o chorobie do momentu śmierci trwała kilka miesięcy. Karol umarł w pokoju, z modlitwą na ustach. Zgodnie z życzeniem pochowano go w Asyżu. Był rok 2006. Sześć lat później rozpoczął się proces beatyfikacyjny, który teraz jest już na etapie rzymskim. Niektórzy księża w Watykanie z uśmiechem spekulują, że znaleźli patrona dla Internetu.

Troje młodych ludzi, trzy historie, trzy choroby. Nikt z nich nie rezygnował z młodzieńczych wygłupów, buntu dojrzewania, radości z przyjaciółmi, przyjemności czy zabawą nowoczesną techniką. Żyli z właściwym sobie młodzieńczym entuzjazmem. Po ludzku choroba i cierpienie w sposób brutalny odebrała im życie i beztroskę młodości. Jednak nie pozwolili wyrwać sobie z serca ani entuzjazmu, ani miłości, ani zaufania do Boga. Więcej, choroba stała się dla nich spotkaniem z Bogiem, spotkaniem, które sprawiło, że stali się duchowo niezwykle dojrzali. Na myśl nasuwa mi się fragment z Księgi Mądrości (4 ,13): „Wcześnie osiągnąwszy doskonałość, przeżył czasów wiele. Dusza jego podobała się Bogu". Klara, Mateusz i Karol są dla nas przykładem tego, że choroba, cierpienie i śmierć nie muszą być ciężkim wyrokiem, ale rzeczywistością, która afirmuje, oczyszcza i udoskonala. Można by powiedzieć „łatwo się mówi", ale oni odpowiadają „w Bogu wszystko jest możliwe".

Osobiście dotyka mnie nie tylko ich młody wiek, ale przede wszystkim bliskość ich młodości. To albo moi rówieśnicy, albo ciut starsi. Nie żyli setki lat temu, ale kroczyli po ziemi wtedy, kiedy ja żyłem, kiedy się uczyłem, wygłupiałem, szukałem Boga – oni w tym czasie robili to samo. Ich życie stało się dla mnie rachunkiem sumienie i ciągłym pytaniem: jak blisko jestem Boga? Czy potrafiłbym tak jak oni pozwolić, aby miłość zwyciężyła strach? Nie wiem. Za to wiem jedno: kiedy na mnie przyjdzie czas próby nie będę sam. Oni będą ze mną. Oni przetarli szlaki dla świętości w XXI wieku.

Misje to nie wakacje, to ekstremalne "wstanie z kanapy"

Krzysztof Dziatlik

Z Moniką Chudzyńską, wolontariuszką misyjną, która spędziła dziesięć miesięcy na wolontariacie misyjnym w Mansie (Zambia) o życiu w Afryce, kryzysach i nadziei w życiu chrześcijanina oraz chorobie i uzdrowieniu rozmawia Krzysztof Dziatlik.

Krzysztof Dziatlik: Kiedy po raz pierwszy poczułaś, że chcesz wyjechać na misje?

Monika Chudzyńska: Pierwszy raz o wyjeździe na misje pomyślałam kiedy miałam siedem lat, wtedy w mojej miejscowości, z której pochodzę, w Śladowie podczas mszy świętej, na której kazanie głosił franciszkanin, o. Darek i na tym kazaniu opowiadał on o swojej pracy misyjnej w Kenii i w Tanzanii. I wtedy sobie pomyślałam, że to jest super i że chciałabym kiedyś wyjechać do Afryki na misje. I to była taka pierwsza myśl wtedy. Potem w moim życiu ta myśl gdzieś do mnie powracała i stwierdziłam, że w takim razie może warto coś z tym zrobić.

W klasie maturalnej, poszłam po raz pierwszy w życiu na pielgrzymkę, była to pielgrzymka łowicka. I na tej pielgrzymce usłyszałam, że nie muszę być siostrą zakonną żeby wyjechać na misje, że jeżdżą też na misje wolontariusze świeccy i dostałam ulotkę, wzięłam ją, ale nic z nią tak naprawdę nie zrobiłam.

Na II roku studiów trafiłam do Łodzi i tam poznałam znajomych, którzy mieli znajomych przygotowujących się na wyjazd na wolontariat

misyjny. I jeden z tych znajomych zaprosił mnie we wrześniu na spotkanie do Salezjańskiego Ośrodka Misyjnego. Skorzystałam z tego zaproszenia i tam pojechałam. W tym samym czasie trafiłam też do grupy misyjnej w „Węźle" – duszpasterstwie akademickim, do którego uczęszczałam.

Jak osoba świecka może zostać misjonarzem?

Moim zdaniem misjonarzem jest każdy z nas, tak naprawdę nie musimy nigdzie wyjeżdżać, tu na miejscu też należy głosić Chrystusa i pomagać innym. Powiedziałabym nawet, że najcięższą misją w życiu jest bycie misjonarzem we własnej rodzinie i głoszenie Chrystusa w niej oraz dawanie w niej o tym świadectwa. No ale misje kojarzą się nam też z czymś dalszym.

Żeby wyjechać na misję, to po pierwsze należy odkryć w sobie takie pragnienie. Po drugie, należy zgłosić się do jakiejś organizacji, która przygotowuje osoby świeckie do wyjazdu na wolontariat misyjny. A potem należy się dużo modlić i rozeznawać tę decyzję, bo tak naprawdę, według mnie, misjonarz to nie jest osoba, która chce tylko pomagać, bo ta pomoc jest potrzebna i ważna i my się tym zajmujemy na misjach, ale nie jest to wystarczające. Głównym elementem powołania misyjnego dla mnie jest to, żeby po prostu głosić Chrystusa. Więc aby odnaleźć to w sobie, to właśnie trzeba się dużo modlić i rozeznawać. Rozeznawać, czy Pan Bóg rzeczywiście tego ode mnie chce, czy On naprawdę chce mnie posłać, gdzie chce mnie posłać, do kogo, z jakiej organizacji, na ile czasu. Ważne jest też porzucenie tego co mam, tego co jest dla mnie wygodne, bezpieczne i wyruszenie za tym, co Pan Bóg dla mnie planuje. Takie „wstanie z kanapy", jak to mówił papież Franciszek.

Formowałaś się w Salezjańskim Ośrodku Misyjnym, ale jest przecież bardzo dużo organizacji, które przygotowują świeckich do wyjazdu na misje. Dlaczego zatem wybrałaś właśnie SOM?

Dlatego, że po pierwsze tak pokierował trochę Pan Bóg, że spotkałam osoby związane z SOM-em, osoby, które stamtąd wyjechały na wolontariat misyjny. I też przez to, że trafiłam do Duszpasterstwa Akademickiego „Węzeł", prowadzonego przez salezjanów. Poza tym podobał mi się salezjański charyzmat, ta radość, praca z młodzieżą, misje i to było mi bardzo bliskie.

Jak wygląda formacja w Salezjańskim Ośrodku Misyjnym?

Od września, co miesiąc, są spotkania formacyjne, one trwają trzy dni (piątek – niedziela). Jeżeli dana osoba myśli o wyjeździe długoterminowym, to w lutym przechodzi testy psychologiczne, one są bardzo ważne i mają wielkie znaczenie. W grudniu albo styczniu są też egzaminy z języka obcego. I tak naprawdę jak już w lutym, ktoś podjął decyzję, jak dyrektor SOMu zgodził się na wyjazd takiej osoby, to potem o tym, czy ktoś wyjedzie decydują, oczywiście z Bożą pomocą, te wszystkie takie przyziemne rzeczy, to znaczy czy uda się zakupić wszystkie potrzebne rzeczy, czy nie ma jakichś przeciwwskazań do wyjazdu, czy uda się załatwić wszystkie formalności, czy uda się do wyznaczonego terminu (bodajże kwietnia) zebrać pieniądze na bilet, bo ten bilet też trzeba kupić z pewnym wyprzedzeniem, nie może to być robione na ostatnią chwilę.

Czy przed wyjazdem misyjnym miałaś już jakieś wcześniejsze doświadczenia misyjne?

W pewnym sensie można tak powiedzieć, że takie małe doświadczenie misyjne zebrałam podczas tygodniowego wyjazdu na Ukrainę. Tam pracowałam z dziećmi niepełnosprawnymi. Było to też na pewno jakieś świadectwo dla tamtejszych mieszkańców, dla tych ludzi którzy tam pracowali. My – wolontariusze, braliśmy tam każdego dnia udział we mszy świętej w tamtejszym kościele parafialnym, więc to też na pewno jakieś świadectwo było. Ale w sumie przez tę moją pracę, przez samo to, że przebywałam tam z dziećmi, to było też jakieś doświadczenie, taki początek, takie zasianie ziarenka.

Jak wyglądały Twoje pierwsze dni w Zambii, jak zostałaś przyjęta przez miejscowych, jak się tam zaklimatyzowałaś?

Do Mansy przyjechałyśmy o 2 w nocy, więc jakby jeszcze wszystko spało. Następnego dnia rano poszłyśmy się przywitać z siostrą dyrektorką, potem przy najbliższej niedzieli zostałyśmy powitane oficjalnie w parafii. Byłyśmy trochę skrępowane, nie wiedziałyśmy jak się zachować, co powiedzieć, ale też przyjechałyśmy specjalnie w sierpniu, a rok szkolny zaczynał się we wrześniu, wiec miałyśmy około tygodnia, żeby się samemu troszeczkę zaklimatyzować, trochę poznać rozkład dnia, gdzie co jest w placówce misyjnej itp. Na początku była z nami siostra zakonna z Europy, z Włoch, i ona nam wiele rzeczy pokazała i wytłumaczyła, natomiast Zambijczycy mają coś takiego, że jeżeli ty ich nie zapytasz, to oni cię nie poinformują i potem kiedy ta siostra wyjechała to dużo rzeczy dowiadywałyśmy się po czasie albo jak nie zapytałyśmy, to po prostu tego nie wiedziałyśmy. Ja osobiście dopiero po trzech miesiącach czułam, że jestem w Zambii, te pierwsze trzy miesiące to było dla mnie takie życie w zawieszeniu, że tak naprawdę fizycznie byłam już w Zambii, ale duchowo wciąż jeszcze byłam w Polsce i dopiero po tych trzech miesiącach poczułam, że wchodzę tutaj w jakieś relacje, że się otwieram, że już wchodzę w taki rytm życia tutaj. Wiązałyśmy z tą siostrą z Włoch duże nadzieje, ale się okazało że niedługo potem ją przenieśli, więc te nasze nadzieje prysły i już tak myślałyśmy, że gorzej być nie może, więc przestałyśmy mieć jakiekolwiek oczekiwania i potem było już coraz lepiej.

Jakie były Twoje zadania jako wolontariuszki misyjnej?

Praca w szkole garażowej i oratorium, a tak poza tym to jakieś pomoce siostrom. Z racji zdolności artystycznych przygotowywałam obraz Wniebowzięcia NMP do katedry w Mansie, miałam też malować kaplicę i busa sióstr, ale nie udało mi się tego zrobić

z racji braku czasu i w wyniku tego, że musiałam wyjechać wcześniej, więc tak naprawdę to, co siostry planowały, to konsultowały z nami i my się starałyśmy to robić. Magda np. przygotowywała bibliotekę dla dzieci.

Na czym polegała szkoła garażowa?

W szkole garażowej chodziło o to, żeby zachęcić dzieci, żeby poszły potem do normalnej szkoły, bo to była taka szkoła podwórkowa, prowadzona przeze mnie i Magdę, takie bardziej zajęcia wyrównawcze, nauka jakichś bardzo podstawowych rzeczy, ale dzieci się bardzo cieszyły, że mogą za darmo przyjść i się czegoś nauczyć.

Kiedy się pojawił Twój pierwszy kryzys na misjach? Jaki był jego powód?

Była taka bardzo trudna sytuacja z pewną siostrą zakonną, która chyba za mną i za Magdą za bardzo nie przepadała albo była zazdrosna o dzieci, o młodzież. I ta siostra powiedziała dzieciom, chłopcom, że oni mają nie przychodzić do oratorium, że mają z nami nie rozmawiać i się z nami nie zadawać, a jak ją zapytałyśmy o co chodzi, to nam powiedziała, że te dzieci spędzają z nami za dużo czasu i to jest niedobre. Chłopcy zaczęli płakać, że jesteśmy bardzo wredne, że lepsze wolontariuszki były w tamtym roku przed nami. Poszłyśmy jeszcze do tej siostry, żeby to sobie jakoś wszystko wyjaśnić, ale ona nas trochę wyśmiała, że i tak tego nie zrozumiemy, więc byłyśmy postawione w ciężkiej sytuacji, że z jednej strony posłuszeństwo, bo to jest siostra, która była odpowiedzialna za oratorium i my jesteśmy tutaj tylko pomocą, z drugiej strony chłopcy przeciwko nam, z jeszcze kolejnej strony sytuacja której kompletnie nie rozumiemy. I pamiętam, że byłam wtedy na adoracji, to było jakoś właśnie po trzech miesiącach pobytu w Zambii, nie było żadnego białego w okolicy, z którym byśmy mogły o tym porozmawiać, Polaka ostatni raz widziałyśmy w Polsce

i ja sobie wtedy pierwszy raz pomyślałam: no, to zaczynają się misje, kompletnie nie rozumiem ich myślenia, a muszę się tu odnaleźć i przede mną jeszcze kolejne miesiące pracy. Po czym wychodzę z adoracji i słyszę po polsku: „Dzień dobry". Odwracam się, patrzę, biały człowiek. Okazało się, że to był ks. Krzysztof, który jest teraz inspektorem w Zambii i w innych krajach afrykańskich, i jak go zobaczyłam, to z Magdą zaczęłyśmy płakać ze wzruszenia, że w końcu widzimy człowieka mówiącego po polsku, który w końcu nas zrozumie, że ktoś w końcu wie o co nam chodzi, jak czasem się ciężko odnaleźć tutaj.

W styczniu 2017 r. w Boliwii została zabita młoda polska misjonarka, dziewczyna w twoim wieku, czy miałaś wówczas jakieś obawy o swoje bezpieczeństwo tu w Zambii? Czy myślałaś wówczas o powrocie do Polski?

O powrocie nie myślałam, ale dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z tego, że wyjazd misyjny to nie są przelewki, że mogą się różne rzeczy wydarzyć, że tak naprawdę to jednak jest trochę „hardkorowe", trochę ekstremalne, i zdałam sobie sprawę, że taki wyjazd misyjny to jest duże zadanie, że to nie jest wyjazd na wakacje, tylko to, że też mogę stracić życie. Wcześniej tyle o tym nie myślałam, nie zdawałam sobie z tego tak sprawy stuprocentowo, że mogę stracić życie na misjach, bo stwierdziłam że jakoś Pan Bóg się będzie o mnie troszczył i wszystko będzie dobrze, że mnie wysyła nie po to, bym miała zginąć. Bardzo się wtedy przestraszyłam, bałam się, żyłyśmy tym przez kilka dni, byłyśmy w wielkim szoku, ale chyba żadna z nas nie myślała o tym, żeby wrócić, bo Boliwia jest dużo bardziej niebezpiecznym krajem niż Zambia. No ale trzeba czuwać, trzeba być ostrożnym w każdym momencie, nie chodziłyśmy nigdzie po zmierzchu, starałyśmy się przebywać z Magdą zawsze razem, uprzedzać że gdzieś wychodzimy.

W maju zachorowałaś na najcięższą postać malarii – malarię mózgową; jak ona przebiegała?

Wybraliśmy się z dziećmi na pielgrzymkę w Tanzanii

i tam prawdopodobnie ugryzł mnie komar, który był malaryczny. Początkowo nic nie wskazywało, że to malaria, myślałam, że to jakieś zwykłe przeziębienie. Pierwsze badania również nic poważnego nie wykazały, niestety potem czułam się dużo gorzej, straciłam przytomność na tydzień, z Tanzanii przetransportowano mnie do Kenii, do szpitala w którym były lepsze warunki, lepszy sprzęt. Wiem ze bardzo dużo osób się za mnie modliło, nawet nie miałam świadomości jak wiele. Jeden z salezjanów wymyślił, aby się modlić za moje zdrowie za wstawiennictwem Służebnicy Bożej s. Łucji dos Santos. Są spisywane świadectwa moje, tego księdza i jeszcze paru innych osób, będzie to tłumaczone na język włoski i wysłane do miejsca, gdzie przebiega proces beatyfikacyjny s. Łucji. W ogóle to, że odzyskałam przytomność tak szybko, że nie było żadnych dużych powikłań było wielkim szokiem dla lekarzy tam w Kenii, ale też w Polsce, jak potem byłam badana po powrocie. Jestem bardzo wdzięczna wszystkim za modlitwę, za to, że tyle osób się modliło za mnie, za moje zdrowie i bardzo za to dziękuję rodzinie, przyjaciołom, znajomym, księżom i pracownikom SOMu, wszystkim, którym zawdzięczam życie.

Co odkryłaś w sobie dzięki wolontariatowi na misjach?

Odkryłam w sobie dużo pychy, chciwości, zazdrości, dużo takiej prawdy o sobie. Nauczyłam się akceptacji siebie, że wcale nie jestem taka otwarta, że nie jest mi łatwo wchodzić w relacje, że też potrzebuję na to czasu. Też widzę, że Zambia utwierdziła mnie w wielu kwestiach, że nawet jeśli nie czuję Boga, to chcę przy Nim trwać i wiem, że On jest i w to wierzę, wiem, że mi błogosławi, ale czuję, że musze Go odkryć na nowo, że na to potrzeba czasu. Spotykam się z nim podczas Eucharystii, staram się modlić nawet jak mi to nie przychodzi łatwo, ale ta wiara nie jest już chwiejna po Zambii, ustabilizowała się i mimo kryzysu wiary, jaki przechodziłam, wiem, że Jezus jest skałą. Dlatego też po powrocie z Afryki pojechałam na rekolekcje Saruela do Różanegostoku, żeby walczyć o tę moją wiarę.

Co byś poradziła, korzystając ze swojego doświadczenia, osobom młodym, co robić w momencie kryzysu wiary, zwątpienia?

Jak widzicie, że jest słabo, że jest kryzys, a nie chcecie stracić wiary, to dużo się módlcie, nawet jak jest trudno, nawet jak tego nie pojmujecie, nawet bez zrozumienia. Trwajcie, bo te kryzysy się zdarzają, ale w tym też się objawia miłość Boża do nas i nasza miłość do Boga, że nawet jak jest trudno, to On jest, kocha nas, a kryzysy będą, bo w taki sposób wzrastamy w wierze i w taki sposób możemy uczyć się tej prawdziwej miłości. Bo miłość to jest wierność wyborom.

Co poradziłabyś czytelnikom Adeste, którzy być może rozważają wyjazd na misje?

Jeżeli rozważają, niech coś z tym zrobią, podejmą konkretną decyzję, dowiedzą się więcej o misjach, wybiorą na spotkanie formacyjne, niech się dużo modlą, aby Pan Bóg działał, jeśli chce ich na misjach. Trzeba zaufać Panu, oczyszczać swoje motywacje, że nie jadę na wolontariat misyjny, aby przeżyć przygodę, aby się dowartościować, że jadę tam zbawiać świat, bo tak nie jest. Jadę na wolontariat dlatego, że On tego chce, nawet jeżeli ja tego nie rozumiem i nie wiem, po co to wszystko, to On ma plan na to wszystko i trzeba zaufać Mu i zawierzyć i będzie dobrze.

O! Pan przybywa!

Piotr P. Ulrich

Wielkie Antyfony Adwentowe stanowią niezwykle zapomniane, a zarazem niedoceniane dziedzictwo duchowe i kulturalne Kościoła. Ich wielkość nie objawia się jednak w jakiejś rozwlekłości formy, lecz w ich ukierunkowaniu na Tajemnice naszej wiary, a także w bezpośrednim przygotowaniu do wielkiego wydarzenia, jakim jest świętowanie wcielenia Chrystusa Pana.

źródło: *Burning bush* Sebastien Bourdon: www.arthermitage.org

Z pewnością każdy z nas słyszał o podziale Adwentu na dwa okresy: do 16 grudnia oraz od 17 grudnia aż do Wigilii Bożego Narodzenia. Co jednak ciekawe, klasyfikacja ta została uregulowana przepisami liturgicznymi dopiero w latach 60. XX wieku – początkowo poprzez różną gradację dni w tych dwóch przedziałach, a wreszcie wyraźne rozróżnienie ukierunkowania duchowego: pierwszy okres ma za zadanie przygotować nas do powtórnego przyjścia Chrystusa, drugi zaś – przysposobić do uroczystości Narodzenia Pańskiego. Nasuwa się więc naturalne pytanie – co było wcześniej? Już po powierzchownej analizie wcześniejszych ksiąg liturgicznych[1] można stwierdzić, że żaden formalny podział nie występował. Czy jest on w takim razie jakimś nowym tworem w Liturgii Kościoła? Właśnie w tym miejscu dochodzimy do meritum: jedynym praktycznie, widocznym wyznacznikiem tegoż nieoficjalnego rozgraniczenia było właśnie pojawienie się Wielkich Antyfon Adwentowych z dniem 17

[1] Mniej więcej od soboru trydenckiego, ponieważ wcześniej sam czas trwania Adwentu nie był ściśle uregulowany, o czym świadczy fakt, iż we Francji, na przykład, okres oczekiwania trwał już od 11 listopada.

grudnia. Od początku miały one swoje miejsce tuż przed hymnem Magnificat w nieszporach. W Liturgii po Soborze Watykańskim II umieszczono je także w aklamacjach przed Ewangelią, przypisanych do 7 ostatnich dni Adwentu. Powstanie Wielkich Antyfon Adwentowych datować możemy na VII wiek, za pontyfikatu papieża Grzegorza I, jednak ich obecną formę tekstową zawdzięczamy Amalariuszowi z Metzu (IX wiek).

Budowa

Patrząc na słowa wszystkich siedmiu antyfon, bardzo łatwo zauważamy ich regularność od strony formy. Tekst zawsze rozpoczyna metaforycznie wyrażona apostrofa do Chrystusa, zaczerpnięta z Pisma Świętego, która następnie zostanie rozwinięta i pogłębiona o kolejne konteksty biblijne. Drugą część antyfony stanowi modlitwa zebranego ludu, zainicjowana wezwaniem „veni", czyli „przyjdź".

Święty Augustyn powiedział: „Kto kocha, ten śpiewa". Nic dziwnego więc, że zalecanym przez Kościół sposobem na odmawianie brewiarza, jest właśnie śpiew gregoriański. Również antyfony adwentowe występują w zapisie chorałowym, a więc przeznaczone są do wykonania dla scholi. Melodia przypisana każdej z nich figuruje w drugim tonie gregoriańskim[2], zaś każdy z tonów chorałowych (jest ich 8) posiada osobne zabarwienie uczuciowe (dzięki charakterystycznym figurom). Modus drugi określa się jako smutny, tajemniczy. Bardzo dobrze koresponduje to z tematyką Wielkich Antyfon – przepełnione są one tęsknotą i oczekiwaniem na obiecanego Mesjasza.

O Sapientia

„O Sapiéntia, quæ ex ore
Altíssimi prodísti, attíngens
a fine usque ad finem, fórtiter
suavitérque dispónens ómnia:
veni ad docéndum nos viam
prudéntiæ."

„O Mądrości, która wyszłaś
z ust Najwyższego, Ty obejmujesz wszechświat od końca
do końca i wszystkim rządzisz
z mocą i słodyczą, przyjdź
i naucz nas dróg roztropności".

W tekście pierwszej antyfony, przeznaczonej do odśpiewania 17 grudnia, odnaleźć możemy odniesienie do dwóch fragmentów Pisma Świętego. Pierwszy z nich pochodzi z księgi Mądrości Syracha, w której to Mądrość mówi o sobie: „Wyszłam z ust Najwyższego i niby mgła okryłam ziemię". Drugi człon antyfony nawiązuje do kolejnego tekstu biblijnego, wywodzącego się z księgi Mądrości, który mówi właśnie o tym przymiocie Bożym: „Sięga potężnie od krańca do krańca i włada wszystkim z dobrocią".

Pierwsza z Wielkich Antyfon stawia nas w punkcie wyjścia – „przed wszystkimi wiekami". Apostrofa „O, Sapientia" stawia przed nami Syna Bożego, drugą osobę Trójcy Świętej jako Mądrość, która wyszła z ust Bożych, a więc wyrażoną przez Słowo: odwieczny Logos, będący materią stworzenia. Zrodzenie z Ojca Syna Bożego jest tym właśnie wyjściem Słowa z ust Najwyższego – Słowa, przez które „wszystko się stało". Mgła, którą Mądrość Przedwieczna okrywa całą ziemię, jest alegorią mocy Bożej, która trzyma cały świat w swych ścisłych ramach, bo bez niej wszystko obróciłoby się w nicość. Na uwagę zasługuje również drugi człon antyfony: „Ty obejmujesz wszechświat od końca do końca i wszystkim rządzisz z mocą i słodyczą" – można odczytać to jako swoistą przepowiednię tajemnicy Zbawienia

[2] Ton gregoriański możemy w uproszczeniu zdefiniować jako sposób śpiewu oparty o konkretną skalę i wykorzystujący pewne zwyczajowe figury muzyczne.

– śmierci Chrystusa na drzewie krzyża, z którego to objął ludzkość swoimi ramionami. Dwie skrzyżowane belki stały się tronem królewskim, z którego Jezus rządził „z mocą i słodyczą" i obalił panowanie Szatana nad ludzkością.

W kontekście przytoczonych fragmentów dostrzegamy w tym tekście liturgicznym zestawienie dwóch wielkich początków: z jednej strony sytuacji zrodzenia Syna Bożego przez Ojca, przed wiekami, z drugiej zaś początek nowego życia, które Jezus Chrystus przyniósł nam, składając siebie w najdoskonalszej ofierze za nasze grzechy.

Prośmy Chrystusa, aby w swej Mądrości nauczył nas roztropnego życia, zgodnego z Bożą wolą, z nakazami Stwórcy wobec nas.

O Adonai

„O Adonái et Dux domus Israel, qui Móysi in igne flammæ rubi apparuísti, et ei in Sina legem dedísti: veni ad rediméndum nos in brácchio exténto".

„O Adonai, Wodzu Izraela, Tyś w krzaku gorejącym objawił się Mojżeszowi i na Synaju dałeś mu Prawo, przyjdź nas wyzwolić swym potężnym ramieniem".

W drugiej z antyfon zwracamy się do Chrystusa „O Adonai". Żydzi stosowali to imię zamiennie dla JHWH. Pochodzi ono od hebrajskiego słowa „adon", używanego wobec osób sprawujących władzę. Dnia 18 grudnia Kościół zaprasza nas, abyśmy ponownie wyznali, że Bóg jest naszym prawomocnym władcą.

Pierwsza część tekstu wprowadza nas w swego rodzaju kontekst historyczny antyfony. Doprowadza nas do Księgi Wyjścia, kiedy to Bóg objawił się Mojżeszowi w płonącym krzewie i objawił mu swoje Imię (Wj 3), a także przekazał ludzkości przykazania na górze Synaj (Wj 20). Bóg odkrywa przed nami po kolei swoje tajemnice. Kiedy w poprzednim dniu antyfona wspominała o drogach roztropności, dzisiaj mówi już bardzo konkretnie o prawie

Pańskim, które winniśmy zachowywać całym sercem.

Ramię Pańskie, o którym mowa w drugiej części tekstu, przewija się na kartach Pisma Świętego w wielu momentach. Początkowo mowa o nim w kontekście wyjścia Izraelitów z niewoli egipskiej, np. w Psalmie 136:

„I wywiódł spośród nich Izraela, bo Jego łaska trwa na wieki. Rką potężną, wycigniętym ramieniem, bo Jego łaska na wieki" (Ps 136, 11-12).

W dalszej kolejności warto zwrócić uwagę na fragment księgi Proroka Izajasza:

„Oto Pan Bóg przychodzi z mocą i ramię Jego dzierży władzę [...] Podobnie jak pasterz pasie On swą trzodę, gromadzi [ją] swoim ramieniem" (Iz 40, 10a; 11a).

Wreszcie odniesienie do ramienia Pańskiego pojawia się w hymnie Maryi Magnificat w świętej Ewangelii wg Łukasza:

„On przejawia moc ramienia swego, rozprasza [ludzi] pyszniących się zamysłami serc swoich.
Strąca władców z tronu, a wywyższa pokornych" (Łk 1, 51-52).

Po przeanalizowaniu powyższych cytatów możemy znowu rozgraniczyć „działanie" ramienia Pańskiego opisane na kartach Pisma Świętego. Na początku odnosimy je do wyprowadzenia Izraelitów z niewoli egipskiej. Później przychodzi jednak czas na coś innego, mianowicie na wyprowadzenie narodu wybranego z innej niewoli. Oczywiście rozchodzi się tutaj o krępujące powrozy grzechu. Bóg przychodzi jako władca w osobie Jezusa Chrystusa, który potężnym ramieniem wyswobadza ludzkość z więzów śmierci, a potem zaprowadza swoje władanie na całej ziemi – ogłasza nowy porządek – poniża pysznych, a wywyższa pokornych.

Jesteśmy zachęceni do ukorzenia się przed władcą, Jezusem Chrystusem, który ma moc odpuścić nasze grzechy i wywyższyć nas za okazanie pokory wobec godności Królestwa Niebieskiego.

O, Radix

„O Radix Iesse, qui stas in signum populorum, super quem continebunt reges os suum, quem gentes deprecabuntur: veni ad liberandum nos, iam noli tardare."

„O Korzeniu Jessego, który się wznosisz jako znak dla narodów, przed Tobą zamilkną królowie, a ludy modlić się będą do Ciebie; przyjdź nas wyzwolić, już dłużej nie zwlekaj".

Już na pierwszy rzut oka, gdy zapoznamy się z tekstem trzeciej antyfony, możemy mieć przeświadczenie, że jest to nawiązanie do rodowodu Jezusa Chrystusa. Z każdym dniem Kościół pragnie przekazać nam więcej wiedzy na temat oczekiwanego Mesjasza. Apostrofa O Radix Jesse jest odniesieniem do fragmentu z Księgi proroka Izajasza:

„Wyrośnie różdżka z pnia Jessego, wypuści się odrośl z jego korzeni. [...] Owego dnia to się stanie: Korzeń Jessego stać będzie na znak dla narodów" (Iz 11, 1;10).

Zapowiada on, że Zbawiciel będzie się wywodził z rodu Jessego, a także stanie się znakiem dla całego świata (w łacińskim oryginale użyto sformułowania „gentes", które odnosi się raczej do ludu pogańskiego, który nie zna Boga).

Drugi człon liturgicznego tekstu również jest nawiązaniem do wyżej wspomnianej księgi profetycznej:

„Oto się powiedzie mojemu Słudze, wybije się, wywyższy i wyrośnie bardzo. [...] tak mnogie narody się zdumieją, królowie zamkną przed Nim usta, bo ujrzą coś, czego im nigdy nie opowiadano, i pojmą coś niesłychanego" (Iz 52, 13;15).

Wyżej przytoczony fragment wyjęty został ze słynnej pieśni o Słudze Jahwe, którą Kościół czyta w Wielkim Tygodniu. Przepowiada ona uniżenie Jezusa Chrystusa w czasie bolesnej męki. Prorok nawiązuje tym samym

bezpośrednio do zwieńczenia Tajemnicy Zbawienia, która dokonała się na Golgocie. Warto spojrzeć jednak na ten cytat również z innej strony. Męka i Śmierć Chrystusa, nie dość, że jest dla nas zdrojem miłosierdzia i odkupienia, zwraca również naszą uwagę na inną tajemnicę, tak bliską w obecnym czasie, a zarazem niemożliwą do pojęcia: Bóg stał się Człowiekiem. Zamknął swoją nieskończenie doskonałą, boską naturę w ścisłych ramach ludzkiego, słabego ciała. Możemy tutaj dostrzec pewną zależność: dopiero, gdy będziemy chwalić Boga razem z zastępami aniołów, kiedy osiągniemy świętość, będziemy mogli w pełni pojąć to ogromne misterium.

Na końcu antyfony znów pojawia się wezwanie „veni". Człowiek, pogrążony w swoich grzechach, wyraża w nim ogromną tęsknotę za Bogiem, za Jego łaską woła: „przyjdź szybko!".

O, Clavis

„O Clavis David, et sceptrum domus Israel, qui aperis, et nemo claudit, claudis, et nemo aperit: veni et educ vinctum de domo carceris, sedentem in tenebris et umbra mortis".

„O Kluczu Dawida i Berło domu Izraela, Ty, który otwierasz, a nikt zamknąć nie zdoła, zamykasz, a nikt nie otworzy; przyjdź i wyprowadź z więzienia człowieka, pogrążonego w mroku i cieniu śmierci".

Nie sposób rozpocząć rozważania kolejnej, czwartej antyfony, przeznaczonej na dzień 19 grudnia, bez sięgnięcia do Pisma Świętego:

„Położę klucz domu Dawidowego na jego ramieniu; gdy on otworzy, nikt nie zamknie, gdy on zamknie, nikt nie otworzy" (Iz 22, 22).

Prorok w tych dosyć tajemniczych i trudnych do pojęcia słowach znów ukazuje naszą zależność od Chrystusa.

Przede wszystkim stwierdza Jego władzę nad całym światem. Potwierdzają to wypowiedzi samego Jezusa na kartach Apokalipsy św. Jana Apostoła:

„To mówi Święty, Prawdomówny, Ten, co ma klucz Dawida, Ten, co otwiera, a nikt nie zamknie, i Ten, co zamyka, a nikt nie otwiera" (Ap 3, 7);

„Byłem umarły, a oto jestem żyjący na wieki wieków i mam klucze śmierci i Otchłani" (Ap 1, 18).

Po przywołaniu powyższych fragmentów wszystko staje się już dużo jaśniejsze i bardziej klarowne. Bóg uświadamia człowieka, iż ten znajduje się w ciemności, która jest dla niego swego rodzaju więzieniem. Przedstawia mu jego aktualną sytuację: pochłaniają go mroki śmierci – oczywiście chodzi tutaj o śmierć duchową, pogrążenie w grzechu, nieumiejętne stawianie oporu pokusom itd. Stwórca, jako miłosierny Ojciec, daje jednak jedną możliwość na wyjście z owej ciemności. Jest nią Jezus Chrystus. Tylko zaufanie do Jezusa, a co za tym idzie – wypełnianie jego nakazów, pobożne życie – może sprawić, że drzwi duchowego marazmu otworzą się i będziemy mogli wyjść na światło radości i świętości na drodze Zbawienia.

O, Oriens

„O Oriens, splendor lucis æternæ, et sol iustitiæ: veni et illumina sedentes in tenebris et umbra mortis."

„O Wschodzie, blasku Światła wiecznego i Słońce sprawiedliwości, przyjdź i oświeć siedzących w mroku i cieniu śmierci".

Rozważając tekst kolejnej antyfony, można dostrzec coraz wyraźniej zarysowujący się koniec adwentowego oczekiwania: wschód słońca zawsze zwiastuje koniec nocy. W poprzednich dniach prosiliśmy Chrystusa, aby wyprowadził nas z ciemności grzechu i śmierci, a jak najlepiej wyjść z mroku? Idąc do światła. Liturgia stawia przed nami Jezusa jako wieczny blask, światłość doskonałą, która już ma się ku wschodowi.

Ukazuje także kolejną oczekiwanego Zbawcy, odwołując się do Pisma Świętego:

„[Mądrość] jest odblaskiem wieczystej światłości, zwierciadłem bez skazy działania Boga, obrazem Jego dobroci" (Mdr 7,26).

Pośród wszystkich innych, już przytoczonych przymiotów Bożych, szczególnie uwypuklona zostaje dobroć, która pojawiła się już na samym początku, gdy Stwórca stwierdził, że jego dzieła były dobre. Tak i teraz patrzy on na nas z ojcowską miłością i dobrocią, lituje się nad nami mimo grzechów, do których lgnie często nasze serce. Wreszcie – antyfona koresponduje z pieśnią Zachariasza, śpiewaną codziennie w czasie jutrzni:

„Dzięki litości serdecznej Boga naszego, nawiedzi nas z wysoka Wschodzące Słońce, by zajaśnieć tym, co w mroku i cieniu śmierci mieszkają, aby nasze kroki zwrócić na drogę pokoju" (Łk 1, 78-79).

Cytat ten ukazuje, że ów „wschód" w tekście liturgicznym na dzień 21 grudnia nie jest analogią do zwykłego zjawiska atmosferycznego – słońce nie „wschodzi" z wysoka – jest to zupełnie sprzeczne z porządkiem natury. Dla Boga jednak nie ma nic niemożliwego. Ludzkość, jak pisze św. Łukasz, a za nim powtarza prorok Izajasz, zamieszkuje podziemną krainę mroków.

To nie nasz świat jest punktem odniesienia dla nieba, a odwrotnie – naszym zadaniem jest dążyć do Bożych przybytków. Bóg zstępuje w głębokości naszego grzechu, nawet tam, gdzie nie chcemy dać mu miejsca i wypełnia nas swoją światłością, prowadzi do swego Królestwa.

O Rex gentium

„O Rex gentium, et desideratus earum, lapisque angularis, qui facis utraque unum: veni et salva hominem, quem de limo formasti."

„O Królu narodów przez nie upragniony; Kamieniu węgielny Kościoła, przyjdź i zbaw człowieka, którego utworzyłeś z prochu ziemi".

Na dwa dni przed Wigilią Narodzenia Pańskiego Kościół pragnie zwrócić

uwagę na zależność między Bogiem i człowiekiem. Oczywiście na początku wychodzi od samego Stwórcy, tytułując Go imieniem królewskim. Odniesienie do Boga jako króla pojawia się między innymi w Psalmach:

„Mówcie wśród pogan: Pan jest królem. Umocnił świat, by się nie poruszył; ze słusznością wymierza ludom sprawiedliwość" (Ps 96, 10).

Widzimy także, że liturgia stawia człowieka w zupełnym kontraście wobec Boga – doskonałego, wspaniałego i sprawiedliwego władcy. Według drugiego opisu stworzenia Adam powstał z prochu ziemi. Być może trudno stanąć nam czasem wobec tezy tak nas poniżającej, jednak warto dostrzec w tym pewną analogię. Antyfona wskazuje, że Chrystus jest kamieniem węgielnym Kościoła, jego budowli. My zaś, pochodząc z gliny, wypaleni miłością Bożą, stajemy się żywymi cegłami w Mistycznym Ciele Chrystusa.

Kościół funkcjonuje więc jako swego rodzaju spoiwo dla kontrastowych bytów nędznego człowieka i doskonałego ze wszech miar Boga. Właśnie tutaj możemy naszą duszę zjednoczyć z Chrystusem, który nas odkupił i w ten sposób osiągnąć zbawienie. Antyfona przedostatnich nieszporów Adwentu wskazuje nam, jak wielką rolę odgrywa Kościół w życiu chrześcijanina – w nim dostępujemy Bożej Łaski, dzięki której mamy więź z Bogiem.

O, Emmanuel

„O Emmanuel, Rex et legifer noster, exspectatio gentium et Salvator earum: veni ad salvandum nos, Domine Deus noster."

„O Emmanuelu, nasz Królu i Prawodawco, oczekiwany Zbawicielu narodów, przyjdź, aby nas zbawić, nasz Panie i Boże".

Ostatnią z Wielkich Antyfon rozpoczyna apostrofa „O Emmanuel". Ten tytuł Mesjasza najpełniej wyraża chyba koniec adwentowego oczekiwania: oznacza dosłownie „Bóg z nami". Drugi człon tekstu jest bezpośrednim nawiązaniem do księgi proroka Izajasza:

„Albowiem Pan jest naszym sędzią, Pan naszym prawodawcą, Pan naszym królem! On nas zbawi!".

Powyższe słowa są kwintesencją wszystkich antyfon. W czasie ostatnich nieszporów powracamy na nowo do tytułów Mesjasza, które przewijały się przez teksty liturgiczne w poprzednich dniach. W końcu jasno wyznajemy, że to Jezus Chrystus jest oczekiwanym Zbawicielem narodów. Antyfonę kończy pełna tęsknoty i zaufania zwrot: „przyjdź, aby nas zbawić, nasz Panie i Boże". Pojawia się tutaj analogia do Apokalipsy św. Jana Apostoła, gdzie Mesjasz nazwany zostaje Panem i Bogiem. Na końcu Adwentu z wiarą uznajemy Jezusa za Syna Bożego, równemu Ojcu, zrodzonego z Niego przed wiekami.

Wielkie Antyfony Adwentowe doprowadziły nas do Wigilii Bożego Narodzenia. Powyższe rozważania nie wyczerpują w pełni bogactwa teologicznego tych tekstów liturgicznych, można powiedzieć, że są jedynie swoistym preludium do tej wielkiej, adwentowej symfonii. Na sam koniec warto jeszcze raz spojrzeć na wszystkie antyfony: O Sapientia, O Adonai, O Radix, O Clavis, O Oriens, O Rex gentium, O Emmanuel. Zauważamy anagram: pierwsze litery czytane od tyłu utworzą łacińskie zdanie: Ero cras – będę jutro. Niech te słowa napełnią nas jeszcze większą nadzieją i przygotują jeszcze lepiej do świętowania Narodzenia Pańskiego.

W Tobie, Panie, zaufałem

Piotr Władysław Sudoł

Podstawowym fundamentem relacji rodzinnych, międzyludzkich, społecznych jest zaufanie. Zaufanie jednak nie jest podstawą wyłącznie w relacji z drugim człowiekiem. Zaufanie to podstawa naszej więzi z Panem Bogiem, bez której nasza wiara będzie często szarpana, a wyobrażenie Boga zniekształcone. Zaufanie to skała, na której buduje się miłość i odpowiedzialność. Temat zaufania i jego wpływu na wiarę jest obecny na kartach Pisma Świętego oraz wśród autorów chrześcijańskich. Warto choć w małym stopniu spojrzeć na tajemnicę zaufania Bogu.

Adam i Ewa – początki więzi z Bogiem

Rdz 1, 27: „Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz, na obraz Boży go stworzył: stworzył mężczyznę i niewiastę". Człowiek powstał jako ostatnie z dzieł Stworzenia. W ten sposób został ukazany jego wyjątkowy charakter – podobieństwo do Stwórcy. Człowiek stał się zwieńczeniem aktu Stworzenia, najdoskonalszym z dzieł Pana. W czym jednak ludzie stali się podobni do Boga? Człowiek został obdarzony duszą rozumną. Tym samym jest zdolny do kochania, do budowania więzi oraz posiada wolną wolę. Wolna wola jest czymś, co najbardziej odróżnia ludzi od zwierząt – zwierzęta mają swobodę działania, ale nie wolność. Dla człowieka wolność to świadomość podejmowanych decyzji i zdolność do ich oceny w kategorii dobra i zła. Jednak już w raju doszło do upadku ludzkości. Jaka była tego przyczyna? Dobrą interpretację wysuwa abp Fulton Sheen

w książce *Stworzeni do szczęścia*. Adamowi i Ewie żyło się doskonale w raju, otrzymali od Boga niesamowite szczęście. Przed samym zerwaniem owocu z drzewa poznania dobra i zła powinno chronić ich samo zaufanie do Pana – skoro ofiarował im tyle dobra i ich stworzył, to znaczy, że należy przestrzegać Jego zakazów, bo nigdy nie uczynił im zła i nie zawiódł ich. Jak widzimy, pierwsi rodzice zgrzeszyli mimo tego, że winni byli zaufać Bogu. Relacja pełna zaufania została przerwana. Bóg obiecuje nadejście Zbawiciela, ale dla ludzi rozpoczyna się trudna droga w relacjach ze Stwórcą.

Noe – (ir)racjonalny sługa?

Kolejna ciekawa relacja człowieka z Bogiem wyłania się z historii Noego. Z opisu biblijnego wiemy, że Bóg kazał mu zbudować arkę, w której schroniłby siebie, swoich bliskich i zwierzęta na czas potopu. Z początku te wydarzenia mogą wydawać się nam co najmniej szalone i bezsensowne, ponieważ nic nie wskazywało na potop. Noe staje się obiektem drwin. Jednak rychło się okaże, że jego praca nie pójdzie na marne. Arka dała mu schronienie na czas potopu, podczas którego był bezpieczny i przetrwał. Symbolika tego opisu jest wymowna – morze, woda były utożsamiane w tradycji hebrajskiej ze złem. Noe w arce chroni się przed wszechobecnym złem. Z tego wyłania się głęboka prawda o naszym życiu i całym świecie. Bóg zawsze dotrzymuje obietnic – dlatego można mu bezgranicznie ufać. Jednak jeżeli zaufamy Bogu, to nie zawsze otrzymamy efekty w krótkim czasie. Noe dopiero po latach przekonał się, że cały jego wysiłek włożony w Arkę okazał się skuteczny. Możemy być pełni nadziei w naszym życiu, że jeżeli wkładamy w coś cały swój trud życia, to prędzej czy później Bóg nam to wynagrodzi. Musimy jednak zaufać całkowicie Jego planom, choćby nam się wydawały irracjonalne. Noe zaufał i zyskał wiele. Jeżeli zaufamy Bogu, będziemy bezpieczni w arce, kiedy wody zła nie wyrządzą nam krzywdy.

Abraham – ojciec narodów

Abraham, który miał dostać potomstwo liczne jak gwiazdy na niebie, początkowo nie mógł uwierzyć w to, co Bóg dla niego przeznaczył. Mimo tego, że w perspektywie ludzkiej posiadanie potomstwa przez Abrahama wydawało się być czymś niemożliwym, Bóg obdarował go synem – Izaakiem. Jednak już w latach młodości Izaaka Abraham został wystawiony na trudną próbę – Abraham miał złożyć w ofierze swojego syna Bogu. Ważne w historii Abrahama i Izaaka jest to, że zarówno Abraham

był zupełnie gotów na tę próbę, jak i Izaak ufał swojemu ojcu i Bogu. Widzimy zatem, że zaufanie graniczące niemal z ofiarnością jest niezmiernie ważne w relacji z Panem Bogiem. Izaak ufał tak, jak Abraham. Bóg zobaczył, że Abraham jest mu wierny i ufa Jego planom. Kazał oszczędzić Izaaka, który już był gotowy na śmierć. Widzimy kolejną prawdę o zaufaniu względem Boga – jeżeli zaufamy i zdecydujemy się nawet na coś radykalnego, to widzimy, że on często oszczędza nam cierpień. Próba zaufania nie jest dla Boga. Jest dla nas. Ona ma nas udoskonalić. Jeżeli wybierzemy z zaufaniem jasno i klarownie Boga – otrzymamy liczne łaski i ochronę od zła. Z opisu ofiary Izaaka wyłania się jeszcze jedna symbolika – Jezus Chrystus, podobnie jak Izaak, dobrowolnie poddał się woli swojego ojca, aby stać się Ofiarą. W przypadku Jezusa jednak widzimy coś zupełnie odmiennego – mówi, aby stała się wola nie Jego, ale wola Ojca. W przeciwieństwie do Izaaka ofiara się dokonała. Jezus bezgranicznie zaufał Bogu Ojcu słowami „Nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie". Zaufał i mimo tego, że okupił to krwawą męką, ostatecznie zmartwychwstał.

Heroizm Hioba

W Starym Testamencie najbardziej zdumiewa czytającego postać Hioba – człowieka najbardziej doświadczonego przez Boga aż do czasów Pana Jezusa. Hiob był człowiekiem niesamowicie obdarowanym – miał żonę, miał dzieci, opływał w bogactwa. Jednak historia tego człowieka drastycznie się zmienia, kiedy szatan wchodzi w „zakład" z Panem Bogiem, w którym ma odciągnąć Hioba od Boga. Wszystko dzieje się za przyzwoleniem Boga. Prawdopodobnie każdy z nas po utracie zdrowia, dzieci, żony, majątku zwątpiłby w Boga albo doprowadził siebie do samobójstwa. Hiob jednak potrafi wygrać walkę z samym sobą, a jego zaufanie jest heroiczne. W Księdze Hioba mówi „Choćby zabił mnie Wszechmocny, ufam". Zdanie to, na pozór jedynie bezsensowne, ma głęboki sens. Hiob chce ufać Bogu aż do śmierci, pokłada nadzieję w Jego sprawiedliwości i dobroci. Bezgraniczna lojalność Hioba jest większa niż śmierć, bo jak sam mówi: choćby zginął, będzie ufał. Z tej historii możemy wyciągnąć wielki morał jaki płynie dla nas – nie należy się martwić albo też rozpaczać, kiedy dotykają nas nieszczęścia. Kiedy napotykamy ciężkie chwile naszego życia pamiętajmy o historii Hioba. Pamiętajmy, że jeżeli spadają na nas ciężary, to Bóg prędzej czy później wszystko, co przecierpieliśmy, wynagrodzi nam.

Przymierze jako rodzaj zaufania

Pan Bóg, Jahwe, zawierał i odnawiał przymierza z narodem wybranym. Pierwszym był Noe, któremu obiecał, że nigdy już nie ześle Potopu. Było to pierwsze oficjalne zawarcie przymierza przez Boga z ludźmi. Ludzie zaufali Bogu, a On obiecał ich wziąć w swoją opiekę. Odnowień przymierza było kilka: z Abrahamem, kiedy Bóg obiecał Abrahamowi potomstwo, które miało stać się narodem wybranym, z Mojżeszem na Górze Synaj, kiedy Bóg dał swoje prawo dla swojego ludu. Widzimy jednak, że za każdym razem, gdy Bóg obiecuje coś ludziom, zawsze dotrzymuje obietnicy. Dlatego właśnie ludzie powinni ufać Bogu. Ciekawą interpretacją zawierania przymierza z narodem wybranym jest twierdzenie, że w momencie zawarcia przymierza na Synaju nastąpiły zaręczyny, a w momencie przyjścia na świat Zbawiciela – zaślubiny. Widzimy też na podstawie przymierza z Izraelem, że Bóg często wybiera

tych, którzy nie są doskonali. Kamień wzgardzony stał się fundamentem. Mimo że żydzi często występowali przeciw Bogu, On stale pamiętał o nich. Tak samo Bóg pamięta o każdym z nas osobna, mimo iż ciągle odchodzimy od Niego.

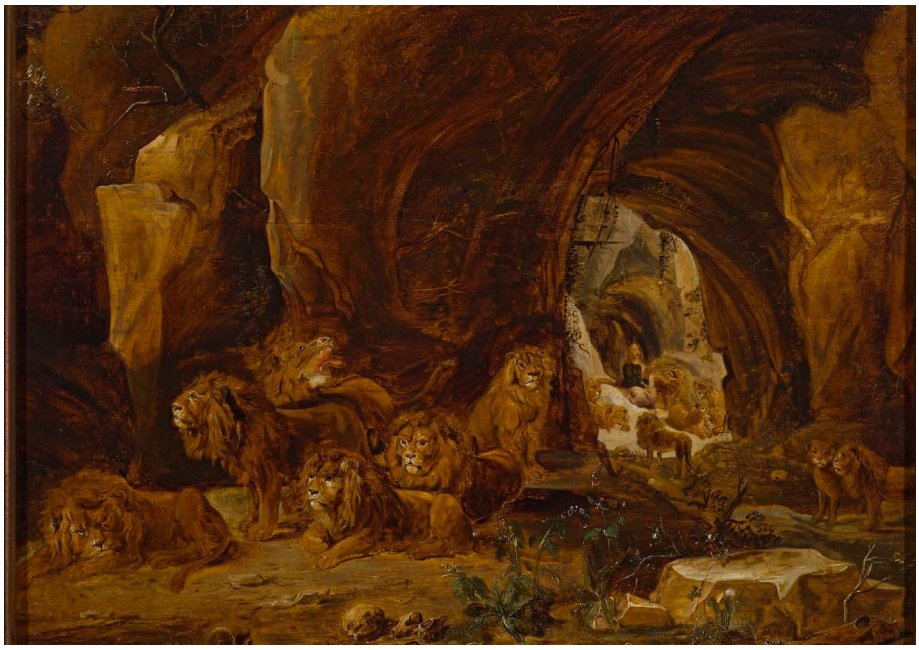

Nieustraszony Daniel

Historia Daniela, proroka na dworze Nabuchodonozora, jest wyjątkowo pełna mądrości. Daniel nie miał łatwo ze swoją wiarą w Boga Jedynego. Jednak potrafi wraz z trzema młodzieńcami wytrwać na dworze. Żywiąc się jedynie jarzynami wyglądał wciąż lepiej niż inni. Interpretował sny Nabuchodonozora. Jednak ostatecznie Daniel staje w dramatycznej sytuacji, kiedy ma zostać wtrącony do jaskini pełnej lwów. Widzimy jednak, że Bóg nakazuje Danielowi zachowanie spokoju. Nie daje lwom dotknąć swojego sługi. Przykład proroka Daniela to tak właściwie prawda o każdym z nas – my również często musimy żyć ciężko z naszą wiarą i nas również spotykają w życiu sytuacje, w których możemy się przerazić. Jednak na przykładzie proroka możemy zobaczyć, że najważniejsze to zaufać Bogu, jak to się często mówi „wypłynąć na głębię" i stawić czoło temu, co nas czeka. Prorok Daniel zaufał Bogu. Tylko tyle i aż tyle wystarczyło, żeby przejść łagodnie przez to, co go czekało. I my również możemy powierzyć się Opatrzności, aby sprostać temu, co nas czeka w życiu.

Służebnica Pańska

Maryja nie spodziewała się zadania, jakie miała otrzymać. W Kościele stała się symbolem posłuszeństwa i zaufania. Jedno bezpośrednio łączy się z drugim. Nazywa sama siebie „służebnicą" ale można jednak zauważyć, że jej posłuszeństwo nie jest podobne do posłuszeństwa w stylu niewolniczego albo feudalnego. Jej posłuszeństwo wynika raczej z zaufania do Boga („Niech mi się stanie według słowa Twego"). Maryja wchodzi w bardzo głęboką więź z Panem Bogiem, jednak nie wynika to ze strachu czy też nagłego przypływu emocji, tylko z bezgranicznego zaufania, świadomości, że Bogu można powierzyć swoją przyszłość. Młoda Niewiasta z Nazaretu zgodziła się na swój udział w wielkim planie zbawienia. Mogła się zarzekać, odmawiać, ale wiedziała, że brak pokory nie uczyni nic dobrego. To stanowiło początek i fundament drogi życia Najświętszej Maryi Panny – zaufanie. Zaufanie Maryi widać również w relacji z bliźnimi – kiedy Józef pragnie zabrać Maryję i Jezusa do Egiptu ta nie oponuje, z pełną ufnością udaje się w drogę z Józefem. Z tego płynie prawda o chrześcijańskim małżeństwie – małżonka jest posłuszna mężowi, ale nie na kształt poddaństwa. Małżonka ufa swojemu małżonkowi i wie, że może być całkowicie ufna jego decyzjom.

W dzisiejszym świecie słowo „poddaństwo” ma niestety znaczenie pejoratywne, jednak widzimy na przykładzie Maryi, że poddaństwo rozumiane jako pełne zaufanie ma niesamowicie budującą wartość.

Niewidomy spod Jerycha

„Powiedział Mu niewidomy: «Rabbuni, żebym przejrzał». Jezus mu rzekł: »Idź, twoja wiara cię uzdrowiła«. Natychmiast przejrzał i szedł za Nim drogą”.

Ślepy jest obrazem każdego z nas – potrzebujemy pomocy, często ze łzami w oczach modlimy się do Pana Boga. Jezus podobnie jak w tym opisie biblijnym „nie wchodzi z butami” w nasze życie. Zamiast tego przychodzi łagodnie, pytając: „Co chcesz, abym ci uczynił?”. Bóg nie chce, abyśmy wierzyli z przymusu. Jezus chce, abyśmy mu zaufali, aby nasza relacja z Nim była prawdziwa i oparta na tym trwałym fundamencie. W innym przypadku prędzej czy później więź z Bogiem w nas upadnie. Jezus bardzo dobitnie podkreśla rolę wiary i zaufania ślepego słowami „Idź, twoja wiara cię uzdrowiła”. Widzimy zatem, że podstawą więzi z Bogiem dla każdego z nas nie są jakieś wielkie rzeczy, ale proste zaufanie, takie, jakim dziecko darzy matkę. Bóg chce, abyśmy mu zaufali i bez lęku uwierzyli, tak jak mówi prorok Izajasz, że nie ma Pana poza Nim.

Zaufanie a szczęście

Smutnym faktem o nas samych jest to, że od wieków człowiek szuka szczęścia nie tam, gdzie trzeba i zawsze jest niezaspokojony. Kardynał Newman w swoich Rozmyślaniach i modlitwach mówi jasno, że Bóg wie, co jest dla nas najlepsze, ale my tego nie wiemy. Można nas porównać do bogacza, który chciał pójść za Jezusem, ale nie chciał porzucić bogactw. Ten opis pasuje do każdego z nas – przywiązani do dóbr ziemskich nie chcemy zaufać Bogu, który oferuje nam o wiele większe szczęście, które nie przeminie, a nasyci nas w pełni. Nieprzypadkowo abp Sheen pisał, że człowieka może zaspokoić tylko nieskończoność. Do podobnych wniosków doszedł w starożytności Augustyn z Hippony, który pisze następująco: „Była w tym raczej zuchwałość niż odwaga, a słabość duszy polegała na tym, że zaufała ona sobie samej, podczas gdy powinna była Tobie ufać”. Doktor Kościoła poucza nas. Widzimy, że nadmierne zaufanie sobie nie prowadzi nas do Boga, ale raczej od niego odwraca. Powinniśmy ufać bardziej Bogu niż nam samym (!), dlatego że Bóg jest Dobrem i nigdy nie będzie chciał wyrządzić krzywdy swoim stworzeniom i dlatego, że w swej wiecznej Opatrzności zaplanował wszystko dla nas jak najlepiej.

Potęga zaufania

Z tych wszystkich opisów wyłania się głęboka prawda o fundamencie życia duchowego – zaufaniu. Nie można podchodzić do Boga z dystansem albo lękiem. Jeżeli chcemy żyć z Bogiem dobrze, musimy mu bezgranicznie zaufać. Powierzyć Opatrzności całą naszą przyszłość. Jeżeli zaufamy Bogu, całe nasze życie stanie się o wiele lepsze, ale nie zawsze prostsze. Czasami jak prorok Daniel będziemy musieli zaufać Bogu, aby przeżyć poważną próbę. Czasami jak Maryja będziemy musieli zaufać Jego planom. Warto jednak czasem z głębi duszy zawołać słowami Psalmu 31: „W Tobie, Panie, zaufałem, nie zawstydzę się na wieki”.

Bramy piekielne go nie przemogą

Konrad Myszkowski

Faktem jest, iż w czasach współczesnych Kościół Katolicki znalazł się w pewnym kryzysie. Winnica Pańska nie dość, że jest celem licznych ataków z zewnątrz, musi się zmagać również z problemami wewnętrznymi. Nie dziwi więc, że wielu katolików spogląda w przyszłość z trwogą, rysując sobie przed oczyma najczarniejsze wizje rozwoju wypadków. Czy jednak Kościół Boży może upaść? Czy jest możliwy taki kataklizm, który zmiecie święty Kościół Katolicki z kart historii? Pismo Święte, nauczanie Kościoła, a przede wszystkim dotychczasowe dzieje ludzkości odpowiadają jasno: NIE.

Rozpoczynający się właśnie adwent, jak co roku przypomina nam o naszym powołaniu do nadziei. Nadzieja nie jest tylko uczuciem czy stanem ducha – Kościół przedstawia ją bowiem, obok wiary i miłości, jako cnotę kardynalną, którą należy w sobie pielęgnować. Szczerze wierzący katolik posiada racjonalnie uzasadnioną nadzieję w wielu różnych obszarach: z nadzieją prosi Boga o rozmaite łaski, przyzywa wstawiennictwa świętych, oczekuje dnia sądu ostatecznego, a także troszczy się o dobro Kościoła i głosi Dobrą Nowinę. W obecnych czasach szczególnie ciężko jest patrzeć z nadzieją na Kościół, bowiem jak wspomniano we wstępie, znalazł się on w kryzysie. Mamy do czynienia ze spadkiem liczby wierzących w Chrystusa czy powołań kapłańskich i zakonnych. Wiara bardzo wielu katolików jest oparta na kruchych podstawach, a prawdy

wiary są słabo znane wśród jego członków, a nawet kapłanów. W tej sytuacji nie dziwi fakt, iż nauczanie Kościoła jest niejednokrotnie rozmywane i przeinaczane, co prowadzi do wypaczeń i licznych błędów, które zwiodły nie tylko wielu wiernych, ale także część duchowieństwa, a nawet biskupów i kardynałów. Co więcej, katolicy są w wielu państwach torturowani i mordowani, podczas gdy w innych (uważających się za bardziej „cywilizowane") wsadza się ich do więzień bądź odbiera im dzieci. Skąd w tej sytuacji brać nadzieję na nadejście „wiosny Kościoła", która „odnowi oblicze tej ziemi"? Aby odpowiedzieć na to pytanie musimy najpierw przypomnieć, czym tak naprawdę jest Kościół.

Królestwo Niebieskie na ziemi

Nie da się zrozumieć Kościoła, jeśli odrzuca się całkowicie jego metafizyczne, nadprzyrodzone źródło i cel. Kościół został powołany przez Boga, który będąc Miłością stworzył na swój obraz i podobieństwo człowieka, od początku powołanego do uczestnictwa w życiu Stwórcy. Człowiek, jako istota obdarzona wolną wolą, a jednocześnie z natury niedoskonała, nie potrafił jednak uszanować woli Stwórcy i świadomie okazał mu nieposłuszeństwo, czyli zgrzeszył. Zerwanie przymierza z Bogiem wprowadziło na świat nieporządek i oddaliło ludzi od Stwórcy. Dlatego Bóg zesłał na świat swojego Syna, aby złożył doskonałą ofiarę za grzechy ludzkości oraz założył Kościół – „Królestwo Niebieskie na ziemi" (KKK 763), przez które realizować się będzie Komunia ludzi z Bogiem. Tworzenie Kościoła rozpoczęło się od „małej trzódki" (Łk 12,32) – dwunastu Apostołów, odzwierciedlających dwanaście pokoleń Izraela, poprzez które Bóg przygotował ludzkość na nadejście Chrystusa.

Objawienie Bożych zamysłów dotyczących Kościoła nastąpiło w chwili przekazania ziemskiego zwierzchnictwa nad nim św. Piotrowi. Jezus wypowiedział wówczas następujące, historyczne słowa: „Ty jesteś Piotr [czyli Skała], i na tej Skale zbuduję Kościół mój, a bramy piekielne go nie przemogą" (Mt 17,18). Od tej chwili możemy mówić o historii Kościoła Katolickiego jako instytucji, znanej wszystkim i pojmowanej w czysto ludzki sposób. „Przede wszystkim jednak Kościół narodził się z całkowitego daru Chrystusa dla naszego zbawienia" (KKK 766). Dokonało się to w czasie Ostatniej Wieczerzy, kiedy to Jezus ofiarował swoje najświętsze Ciało i Krew jako duchowy pokarm, którego spożywanie prowadzi do Komunii z Bogiem oraz dzień później na Krzyżu, gdy to samo Ciało i Krew ofiarował za odkupienie naszych win. Święty Ambroży ujął to niezwykle celnie w słowach: „Jak Ewa została utworzona z boku śpiącego Adama, tak Kościół narodził się z przebitego serca Chrystusa, który umarł na krzyżu". Co więcej, już na Golgocie Jezus w szczególny sposób powierzył „małą trzódkę", uosobioną przez św. Jana Ewangelistę, pod opiekę swojej Matki, czyniąc Maryję tym samym Matką Kościoła. „Oto Matka Twoja" (J 19,27) – to słowa skierowane do każdego z nas.

„Kiedy zaś dopełniło się dzieło, którego wykonanie Ojciec powierzył Synowi na ziemi, zesłany został w dzień Zielonych Świąt Duch Święty, aby Kościół ustawicznie uświęcał i aby w ten sposób wierzący mieli przez Chrystusa w jednym Duchu dostęp do Ojca" (Lumen Gentium, 4). W ten sposób Kościół, powołany przez Boga Ojca i stworzony na ziemi przez Chrystusa, został następnie ukazany

światu przez Ducha Świętego, który kieruje wspólnotą ludu Bożego poprzez rozmaite dary i charyzmaty. Głęboko wierzymy, że Duch Święty prowadzi Kościół Katolicki przez kolejne stulecia, przemawiając przez duchowieństwo i biskupów (na czele z papieżem) oraz stanowiąc natchnienie dla świętych i błogosławionych. W ten sposób Kościół czeka dnia powtórnego przyjścia Chrystusa na świat, kiedy to zazna wypełnienia w Królestwie Niebieskim. Do tego czasu musi jednak przejść przez wiele prób i prześladowań, jak to zapowiedział starzec Symeon w proroctwie po ofiarowaniu Jezusa w świątyni: „Oto Ten przeznaczony jest na upadek i na powstanie wielu w Izraelu, i na znak, któremu sprzeciwiać się będą" (Łk 2, 34). Prześladowania i ataki nie mogą zniszczyć Kościoła, ponieważ nikt ani nic nie jest w stanie zniszczyć prowadzącego go Boga, ale obniżają jego skuteczność misyjną oraz nauczycielską.

Mała Trzódka i wilki

Początek historii Kościoła Katolickiego był zarazem początkiem historii jego prześladowań. Przez niemal dwa tysiące lat Szatan nie próżnował i podpuszczał coraz to nowe grupy ludzi do atakowania Winnicy Pańskiej. Ataki te oczywiście nie są w stanie zniszczyć Kościoła jako instytucji, ale mają na celu utrudnianie jego posłannictwa – prowadzenia dusz ku niebu. Wszyscy ci, którzy odwracają się od Kościoła – czy to za podszeptem złego, który we własnej pysze uznają za głos rozsądku, czy zbałamuceni antyklerykalną postawą innych ludzi – schodzą bowiem ze ścieżki zbawienia, a to właśnie jest największym zwycięstwem, jakie Szatan może odnieść. Dlatego stosuje on przeciw Kościołowi szeroki arsenał grzechów, w którym poczesne miejsce zajmuje kłamstwo – oczywiście w wielu postaciach, dopasowanych do różnego rodzaju ludzi – oraz pycha. Pycha, zamykająca oczy człowieka na potęgę Bożej miłości, doprowadza w końcu człowieka do postawienia siebie w miejscu Boga. Wówczas dużo łatwiej jest nie tylko świadomie kłamać, ale przede wszystkim bezkrytycznie przyjmować kłamstwa jak „własną prawdę". Człowiek zniewolony pychą nie jest bowiem zdolny do trzeźwej oceny faktów i intelektualnej uczciwości, ale przewrotnie interpretuje (a wręcz nagina) rzeczywistość tak, aby pasowała ona do jego przekonań. Właśnie w ten sposób doszło do rozpowszechnienia licznych mitów na temat Kościoła (na czele z wyssanymi z palca „milionami zabitych przez inkwizycję", „plagą pedofilii" czy „bogactwem kleru"); ten sam mechanizm stał u źródeł większości starożytnych herezji, schizm, a także reformacji. Drugą groźną bronią Szatana jest przekonywanie, że sprawy religijne są mało istotnym

aspektem życia człowieka. Tę karkołomną tezę uwiarygodniają ziemskie „cuda" – bogactwo, władza, rozrywka, sława. Oczywiście, wszystkie te rzeczy są potrzebne i dobre – jednak same z siebie nie są w stanie dać szczęścia, a próba zastąpienia nimi Boga nieodmiennie prowadzi do zniewolenia, sprowadzając człowieka do poziomu zwierzęcia. To tłumaczy, dlaczego Kościół od zawsze miał wielu wrogów wśród osób wpływowych i bogatych, ale także dlaczego jest często obiektem ataku ze strony osób określających się jako „obojętne religijnie".

Jak już wspomniano, Kościół był celem prześladowań od samego początku swojego istnienia. Pierwszy atak na powstającą dopiero wspólnotę podjęli żydowscy arcykapłani tuż po zmartwychwstaniu Jezusa, co zostało opisane w Ewangelii (Mt 28, 11-15). Warto pochylić się nad tym fragmentem, gdyż obrazuje on pewne schematy, które po dziś dzień są wykorzystywane w niezmienionej formie do walki z Kościołem. Otóż arcykapłani powiadomieni o powstaniu Jezusa z martwych dają straży następujący rozkaz: „Rozpowiadajcie tak: Jego uczniowie przyszli w nocy i wykradli Go, gdyśmy spali. A gdyby to doszło do uszu namiestnika, my z nim pomówimy i wybawimy was z kłopotu". Cóż tu widzimy? Przede wszystkim wspomniane powyżej pychę i kłamstwo. Fakt, iż arcykapłani wydali rozkaz rozpowszechniania fałszywych informacji nie jest tu jednak najgorszy. Podstawowy problem stanowią motywy decyzji, pomimo świadomości jej konsekwencji. Po pierwsze – arcykapłani nie zadali sobie trudu zweryfikowania, co tak naprawdę się wydarzyło. Prawdopodobnie opowieść przedstawiona przez strażników była jednak mocno przekonująca, skoro rada zdecydowała się przekupić ich dużą ilością pieniędzy, aby jej nie rozpowiadali (Mt 28, 12). Jednak nawet jeśli arcykapłani nie byli osobiście przekonani co do prawdziwości zmartwychwstania Chrystusa, nie posiadali przesłanek do definitywnego odrzucenia tego faktu. Dlaczego zatem tak im zależało, aby jak najszybciej przekazać ludziom wersję wydarzeń, która według ich stanu wiedzy była najprawdopodobniej nieprawdziwa? Po pierwsze – do głosu doszła pycha, każąca rozprawić się z zagrożeniem dla ich władzy, jakim niewątpliwie był zmartwychwstały Chrystus. Po drugie – postawili sprawy doczesne (władza) ponad wiecznymi, co zamknęło im oczy na konsekwencje podjętej decyzji (sprowadzenie z drogi zbawienia nie tylko siebie, ale również wszystkich tych, którzy uwierzą w nieprawdziwą wersję wydarzeń). Po trzecie – zło jak zwykle zadziałało szybko, nie dając czasu na opamiętanie i choćby chwilę zastanowienia. Wisienką na tym gorzkim torcie jest zapewnienie pomocy w razie kłopotów z namiestnikiem. Zło zawsze daje namiastkę bezpieczeństwa, a problemy wynikłe z jednego kłamstwa wydają się być rozwiązywalne za pomocą innego. Jest to oczywiście ułuda – zło, będące źródłem wszystkich ziemskich problemów, można pokonać jedynie poprzez zwrócenie się do Boga. Arcykapłani mogli więc obiecać strażnikom pomoc w razie problemów w życiu zawodowym, ale równocześnie zawiedli w obszarze religijnym, który teoretycznie był polem ich działania, gdyż ustawili ich w opozycji względem Kościoła, sprowadzając z drogi zbawienia.

Oczywiście działania arcykapłanów nie doprowadziły do zniszczenia Kościoła, który od tamtej pory zaczął się rozwijać i rozrastać po całym świecie. Fakt, iż „mała trzódka" przerodziła się w potężną,

ogólnoświatową instytucję, która pomimo dwóch tysięcy lat prześladowań i wielu kryzysów wciąż trwa i ma miliony członków na wszystkich kontynentach może wydawać się niezwykły. Jest on jednak takim jedynie dla osób patrzących na Kościół Katolicki w sposób światowy, odrzucających nadprzyrodzony charakter Bożej Owczarni i traktujących go właśnie jako instytucję. Dla człowieka wierzącego fakt, iż Kościół od wieków radzi sobie z wewnętrznymi i zewnętrznymi problemami jest naturalną konsekwencją celu jego powołania i prowadzenia przez Boga w Trójcy jedynego, zaś długa lista tych, którzy bezskutecznie próbowali zniszczyć Kościół tylko dodaje nadziei i otuchy w trudnych dla Owczarni chwilach. Prześladowania w starożytnym Rzymie, kryzys ariański (w czasie którego w pewnym momencie ponad połowa duchowieństwa katolickiego popadła w herezję), islam, schizma, sekty neomanichejskie (np. albigensi), rewolucja protestancka, rozwój liberalizmu i rewolucja francuska, socjalizm czy wreszcie modernizm i wynikający z tego współczesny kryzys Kościoła – to hasła przypominające o trudnej, ale zawsze zwycięskiej historii Bożej Owczarni. Z całą pewnością nie inaczej będzie i w przypadku obecnego kryzysu.

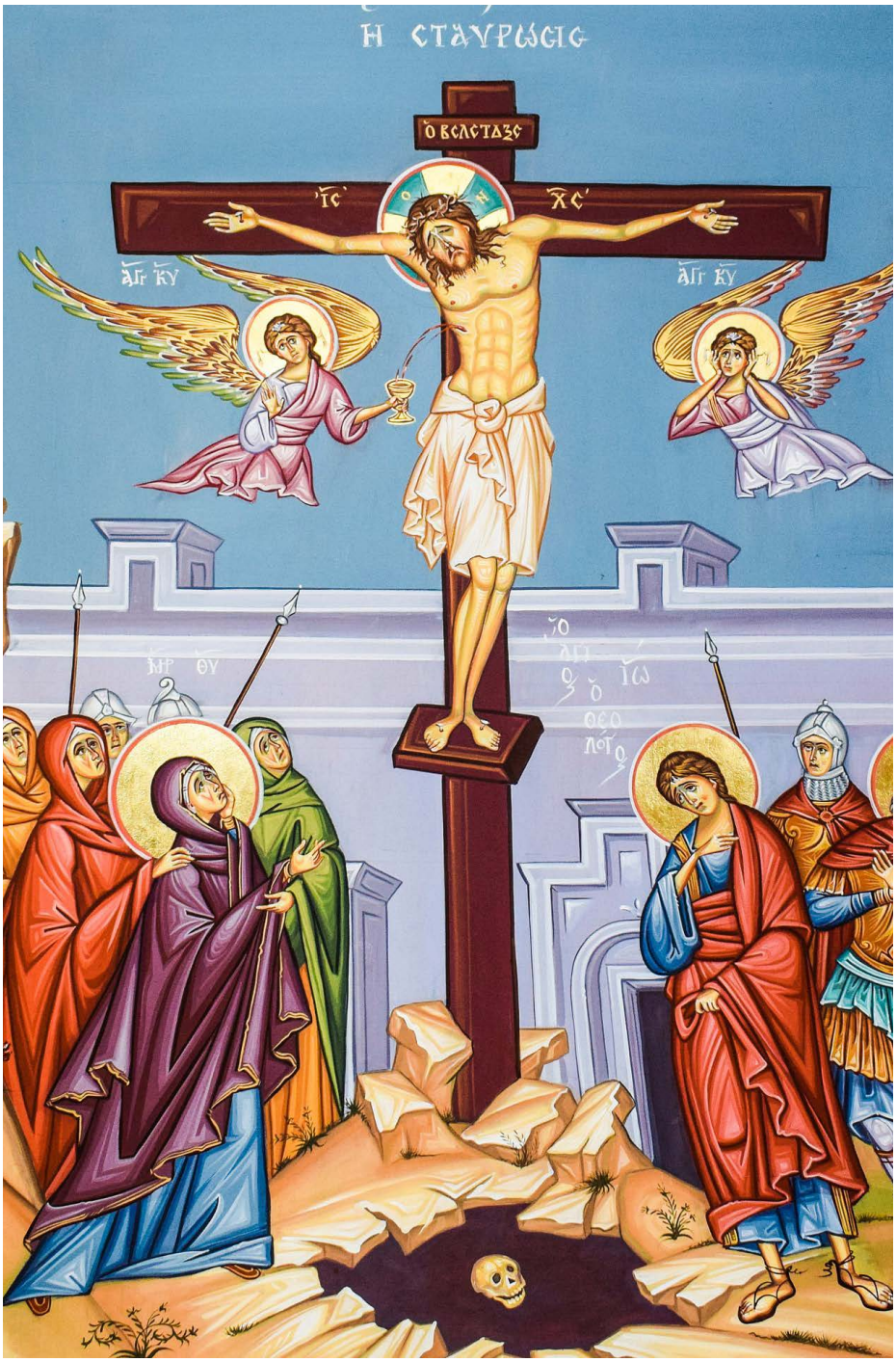

Walczcie o ich zbawienie!

Dobrze – zapyta ktoś – ale dlaczego w tekście o nadziei aż tyle miejsca zajmuje opis kryzysów i prześladowań Kościoła? Czy to ma dodać czytelnikowi nadziei na pomyślny rozwój Królestwa Bożego na ziemi? Cóż... Nadzieją Kościoła zawsze był, jest i będzie Bóg, który wspomaga swoją Owczarnię na różne sposoby, a najczęściej za pomocą świętych, przez których jest ona nieustannie odnawiana i pielęgnowana. Kościół pokłada

więc swoją nadzieję w wiernych, którym sprawy Bożej Trzody nie są obojętne i które gorąco chcą zrobić dla niej coś dobrego; wedle wszelkiego prawdopodobieństwa jedną z takich osób jest [tu wstaw swoje imię i nazwisko]. Tak, Droga Czytelniczko / Drogi Czytelniku: to nie przypadek, że posiadasz takie, a nie inne zainteresowania oraz (być może jeszcze częściowo nieodkryte) zdolności. Owszem, nie znam Cię, ale co do jednego jestem przekonany: Twoja osobowość i talenty zostały ukształtowane przez Boga w konkretnym celu – głoszenia wiary i obrony Jego Kościoła takimi sposobami, na jakie pozwalają Twoje możliwości. To właśnie chcę Ci powiedzieć w tym tekście: tak, Kościół jest niezniszczalny, ale nie zwalnia nas to z obowiązku troski o niego – najważniejszym celem Kościoła nie jest bowiem egzystencja, ale prowadzenie dusz do zbawienia. Walka o zbawienie każdego pojedynczego człowieka jest nieskończenie bardziej istotna niż walka o przedłużenie jego ziemskiego życia w przypadku choroby czy wypadku. Im Kościół silniejszy, tym walka ta będzie skuteczniejsza – dlatego tak ważna jest troska o Bożą Owczarnię. Wiedzieli o tym święci wszystkich wieków – wśród szczególnie zasłużonych dla Kościoła w chwilach kryzysu warto wspomnieć św. Atanazego i św. Augustyna, św. Patryka, św. Franciszka i św. Dominika, św. Tomasza z Akwinu, św. Katarzynę ze Sieny, św. Ignacego Loyolę, św. Piusa IX i św. Piusa X, św. Jana Pawła II, a w przyszłości – być może również [tu wstaw swoje imię i nazwisko].

W tym miejscu podkreślę raz jeszcze: każdy, kto chce być święty i dokonywać wielkich dzieł na chwałę Boga musi codziennie pracować nad swoją pokorą. Brazylijski publicysta i działacz katolicki, prof. Plinio Correa de Oliveira, uznawał ludzką pychę za główny motor rewolucji, czyli procesu świadomego niszczenia porządku społecznego

realizującego przesłanie Ewangelii. To pycha nie pozwala nam w pełni zaufać Kościołowi, a poprzez to zaufać Bogu. To pycha mówi, że sami wiemy lepiej, co jest dobre, a co złe, a zasady moralne podawane przez Kościół stanowią ograniczenie naszej wolności. To pycha – gdy pozwala jej się w sposób niekontrolowany rozrosnąć – mówi wreszcie, że Kościół nie jest potrzebny, a nawet zaczyna go obwiniać za nasze własne niepowodzenia i błędy. Oczywiście z każdym kolejnym krokiem na tej drodze dusza osuwa się w odmęty grzechu, zaś rozum ma coraz większe problemy z logicznym wnioskowaniem. Nie trzeba chyba dodawać, że diagnozę prof. De Oliveiry w każdym calu potwierdza historia – wszak to pycha kazała Lutrowi uważać się za lepszego od papieży, Hitlerowi traktować Polaków i Żydów jako podludzi, Stalinowi uważać „śmierć milionów za statystykę", a współczesnym ideologom rewolucji uznawać np. zamordowanie własnego dziecka za naturalne prawo każdej kobiety.

Tymczasem pokora objawia się w intelektualnej uczciwości, każącej formułować opinie w oparciu o solidne przesłanki i dopuszczać możliwość własnej pomyłki. Człowiek pokorny nie powtarza bezmyślnie zasłyszanych sloganów i zawsze najpierw myśli, a potem mówi. Przede wszystkim jednak pokora pozwala dostrzec rękę Boga w otaczającym świecie i zaufać Mu, a stąd już tylko krok do zaufania Kościołowi, tak jak wyraził to w jednej ze swoich piosenek bard Jacek Kowalski: „Albowiem człowiek sam z siebie niczego nie ustanowi: nie ufaj byle komu – zaufaj Kościołowi!". To pokora zgina nasze kolana do modlitwy, a także pozwala nam dostrzec głęboką mądrość zasad moralnych wypływających z dekalogu. To wreszcie dzięki pokorze jesteśmy w stanie ze zrozumieniem przyjąć drugiego człowieka i pomóc mu w jego – być może trudniejszej – drodze do Boga. Pokora nie jest powodem do wstydu, ale potężnym orężem Kościoła w walce o zbawienie dusz.

Wzrastając w pokorze i wierności Kościołowi wspomagamy budowanie Królestwa Bożego na ziemi. Nad pokorą można i trzeba pracować – najlepszymi środkami do ich pogłębienia są formacja i czynienie dobra, ale przede wszystkim modlitwa. To właśnie uważna praca nad sobą – pogłębianie wiedzy o Bogu, częsta spowiedź, codzienny rachunek sumienia – czyni wiarę bardziej dojrzałą i wznosi myśli od spraw przyziemnych do Boga, rozbudzając pragnienie oglądania Go w przyszłym życiu twarzą w twarz. Tylko będąc świadomymi katolikami możemy tworzyć Kościół i brać odpowiedzialność za rzeczy najważniejsze – relację swoją i innych z Bogiem, a co za tym idzie – swoje i innych zbawienie. Oczywiście, Kościół nie upadnie. Jest on wszak realizacją zbawczego planu samego Boga, a Jezus wyraźnie zapowiedział, że „bramy piekielne Go nie przemogą". Powtórzę jednak jeszcze raz: niech te słowa nie ostudzą naszego entuzjazmu, niech nie wydaje nam się, że skoro Kościół i tak przetrwa, to nasza aktywność nie ma znaczenia. Nadzieja nie ma nas usypiać, ale motywować. Tak, Kościół Katolicki przetrwa, ale Bóg nie będzie nas sądził z tego, jak Kościół wygląda za naszego życia, ale z tego, co konkretnie zrobiliśmy dla jego dobra. Niech ten piękny i głęboko symboliczny czas adwentu będzie czasem szukania w swoim życiu Bożych znaków, wskazujących nam miejsce w Kościele.

Nadzieję oddaję ludziom

dk. Mateusz Kopa

Od muzyki Ainurów, przez zdradę Melkora, do mrocznych otchłani Śródziemia. Od światłości, przez słabość, do głębokiej ciemności. Tak jawi się historia Ardy – świata z legendarium mistrza Tolkiena. Czy aby na pewno? Czy siły zła, tak przecież potężne i wszechobecne, ostatecznie zwyciężą? Czy może świat jest już potępiony? Czy nie ma dla niego nadziei?

Tolkien był katolikiem i to nie byle jakim. Przeżywał swoją wiarę bardzo świadomie. Katolicyzm traktował niezwykle serio, co wyraźnie widać po prześledzeniu jego życiorysu. Nie chcę się tu jednak rozwodzić nad codziennością oksfordzkiego profesora. Chcę za to, byśmy się razem pochylili nad jego dziełami, nad tym co nam zostawił, i wyciągnęli z tego wszystkiego wnioski. Czy odnajdziemy tam chrześcijańskie przesłanie? Sprawdźmy.

In principium erat Eru – Na początku był Eru

Ktoś, kto oglądał *Władcę Pierścieni* i na tym doświadczeniu zakończył wszelkie swoje relacje z twórczością J.R.R. Tolkiena może być zdziwiony. No bo jak to? Przecież w całej fabule nie ma ani krzty wiary, żadnego kultu, żadnej religii, żadnego Boga. To już *Gra o tron* ma więcej wspólnego z religią, niż ateistyczny świat Śródziemia. Otóż nie. Tak się składa, że *Władca Pierścieni* nie był „opus magnum” pisarza. Tolkien w rozmaitych dziełach stworzył cały świat wyobraźni. Świat spójny, sensowny. Świat, na który składają się przeróżne historie, języki, ludy, kultury, rasy. Świat mający swój początek. „Na początku był Eru” – od tych słów zaczyna się *Silmarillion*, księga opisująca dzieje Ardy od stworzenia aż do odpłynięcia ostatnich elfów do Valinoru. Eru Iluvatar jest Bogiem Śródziemia, stwórcą wszystkiego, co istnieje. Zatem – eureka – Śródziemie nie jest tak

ateistyczne, jak się wydaje. Bóg tam istnieje, acz zazwyczaj się o Nim nie mówi. Zresztą – nie ma takiej potrzeby. Potęga świata mistrza Tolkiena nie wynika z tego, co powiedziane wprost, ale z tego, co podskórne, z tego, co czytelnik bardziej wyczuwa niż faktycznie zauważa. Całe Śródziemie, wszystkie opisane historie, są w swoim przesłaniu do bólu chrześcijańskie. Nie mogą być inne właśnie ze względu na to, że ich autor żył tym, w co wierzył i tę swoją wiarę przelał na papier. Żaden z książkowych elfów czy ludzi nie wznosi modłów do Eru, nie uwielbia go z podniesionymi rękoma, nie składa ofiar. Robią to za niego wszystkie litery, sylaby i głoski, wszystkie opisy i wydarzenia, okładka i kolejne stronice dzieł mistrza, krajobraz Gór Mglistych i Shire'u, zieleń Fangornu i błękit nieba nad Rohanem.

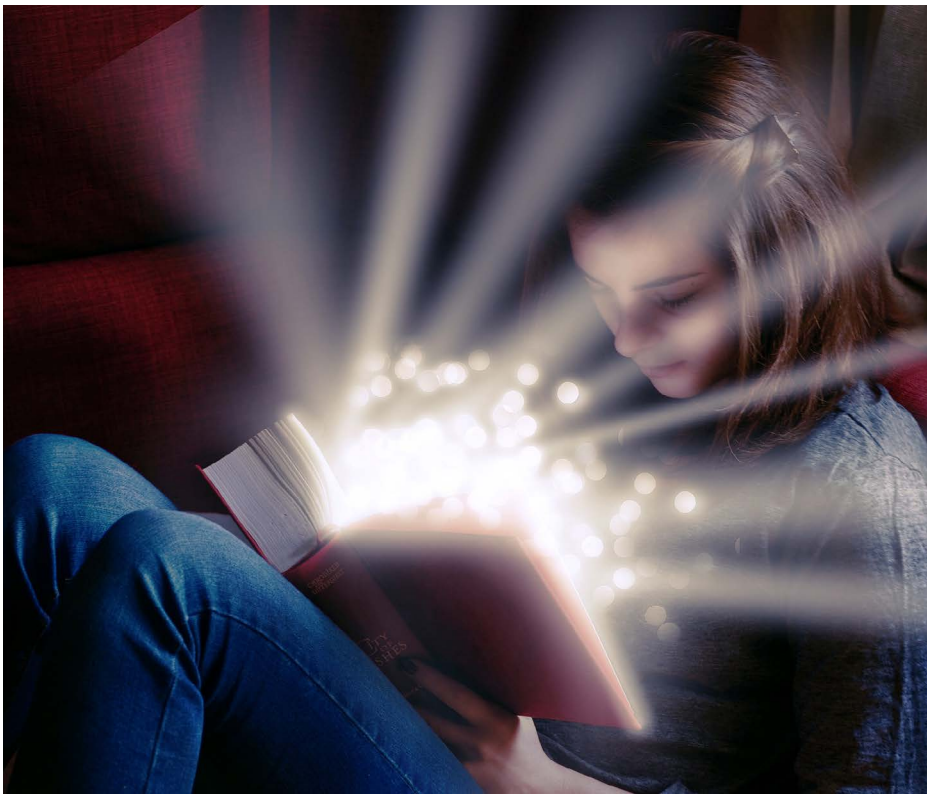

Ucieczka, eukatastrofa, ewangelia

W słynnym eseju *O baśniach* J.R.R. Tolkien dokonał analizy baśni i przedstawił swoje ich rozumienie. Jednym z elementów baśni jest „eskapizm", czyli ich zdolność do umożliwienia ucieczki. Nie jest to jednak ucieczka zła, rodzaj dezercji, ale raczej wyswobodzenie więźnia. Baśnie pozwalają uciec od hałasu, smrodu, bezwzględności i krakowskiego smogu. Pozwalają uciec od własnego głodu, pragnienia, ubóstwa, bólu i smutku. Największą jednak ucieczką człowieka od zawsze (i na zawsze) jest (była i będzie) ucieczka od śmierci. Każda prawdziwie doniosła opowieść skupia się na walce życia ze śmiercią. Nieważne czy to Voldemort tworzący horkruksy, czy trzej bracia posiadający insygnia śmierci, czy Jon Snow zabijający umarłych, czy może z kolei Rebelianci niszczący Gwiazdę Śmierci – Wielka Baśń opiewa czyny ludzi uciekających przed śmiercią.

Wszystkie takie ucieczki wynikające z opowieści są rodzajem pociechy. Słuchający lub czytający baśń ma możliwość doświadczenia rzeczy niemożliwych w normalnej, szarej rzeczywistości. Nie chodzi tu jednak tylko o dobre samopoczucie wypływające z wyobrażenia sobie czegoś nieosiągalnego. Sercem legendy, jej siłą napędową jest – jakkolwiek banalnie to zabrzmi – szczęśliwe zakończenie. Jeśli opowieść ma być kompletna, musi takowe zawierać. O ile tragedia jest – zdaniem Tolkiena – najwyższą funkcją dramatu, o tyle baśń ma właściwość zupełnie odwrotną. Mistrz nazywa ją „eukatastrofą", czyli „szczęśliwą katastrofą". Eukatastrofa nie jest właściwie ucieczką, lecz nagłą i cudowną łaską. Nie przekreśla smutku

i cierpienia, ale – paradoksalnie – wynika z nich. Jest radością spoza tego świata przemieniającą mroki w światło. Jest Ewangelią.

Wyobraź sobie, że przenosisz się do świata przedstawionego w twojej ulubionej książce, że nagle to wszystko staje się prawdziwe. Czujesz tę radość? Potrafisz sobie ją wyobrazić? To teraz uświadom sobie, że zapowiedzi Starego Testamentu stały się prawdą w Jezusie Chrystusie, że Ewangelia jest w swojej istocie opowieścią o wielkiej eukatastrofie ludzkości, historią całkowicie realną i niezaprzeczalnie prawdziwą. W tym sensie nie tylko baśń zawiera w sobie Ewangelię, ale i na odwrót. Tolkien twierdził, że Ewangelia ma w sobie opowieść zawierającą całą istotę baśni. Nie miał tu na myśli tego, że Ewangelia jest fikcją – broń Boże! Chodziło mu raczej o fakt dużo bardziej doniosły. Oto historia zupełnie niewyobrażalna stała się prawdą. Słowo stało się ciałem, Stwórca stał się człowiekiem. Bóg się rodzi, moc truchleje, ogień krzepnie, blask ciemnieje. Wcielenie było eukatastrofą dziejów, a zmartwychwstanie eukatastrofą wcielenia – „niespodziewaną łaską spoza świata". Taki stan rzeczy nie doprowadza jednak do zniesienia legend i baśni, ale uświęca je. Legendy stały się święte przez uczestnictwo w Najświętszej Historii, przez swoje szczęśliwe zakończenie. Przez dawaną nadzieję.

Opowieść o nadziei

Wróćmy jednak do dzieła niewątpliwie najbardziej znanego. Wiele osób zastanawiało się, kto jest głównym bohaterem *Władcy Pierścieni*. Jedni obstawiali, że to Frodo, inni skłaniali się ku wskazaniu na Aragorna. Ostatecznie wątpliwości rozwiał sam Tolkien, który za głównego bohatera swojej książki uważał Sama Gamgee. A co jest głównym tematem słynnej trylogii? Wojna o pierścień? Historia członków Drużyny Pierścienia? Dzieje upadku Saurona? Nie. Przedmiotem opowiadania tak naprawdę jest nadzieja. Nadzieja, która jest nawet tam, gdzie nikt jej już nie widzi. Nadzieja, która utrzymywała Froda przy życiu i pomagała mu wypełnić misję. Nadzieja, która jednak nie opuściła stepów Rohanu. Nadzieja, która przywróciła dawną chwałę Theodenowi. Nadzieja, którą porzucił Denethor, co skończyło się dla niego szaleństwem i śmiercią. Nadzieja jest w końcu siłą napędową poczynań Gandalfa, głównego „spiritus movens" wyprawy do Mordoru i wielu innych dzieł składających się na zwycięstwo nad siłami ciemności.

Istnieje jednak pewna nić na gobelinie historii Śródziemia, która o nadziei mówi tak, jak żadna inna, do tego stopnia, że nawet jej główny bohater ma na imię „Nadzieja". Jest to historia Aragorna, potomka upadłego króla Isildura, który to dał się zwieść pierścieniowi. Isildur – klasycznie – wbił się w pychę i upadł niedługo po swoim wielkim zwycięstwie nad Sauronem. Rodziły się i umierały kolejne pokolenia jego następców. Ich królestwo karlało, rozpadało się, doświadczało wewnętrznych konfliktów, w końcu przestało istnieć. Pozostała mała grupka „Strażników", a pośród nich linia potomków królów. Ostatni z nich po przedwczesnej śmierci ojca – ostatniego wodza Dúnedainów – zamieszkał z matką w Rivendell pod opieką znanego z *Władcy Pierścieni* i *Hobbita* mistrza Elronda. Prawdziwe imię chłopca zatajono, nadając mu nowe – Estel, czyli „nadzieja". Estel, ostatni potomek skarlałego rodu z Północy, odważył się na istne szaleństwo. Zakochał się w Arwenie, córce Elronda, który to oświadczył, że odda mu swoją córkę tylko jeśli ten

zdoła zostać królem Gondoru i Arnoru. Sytuacja beznadziejna, nieprawdaż? A jednak! Po wielu latach cierpliwej pracy, wielkich dzieł i bohaterskich czynów Estel – czy raczej Aragorn – osiągnął to, czego pragnęło jego serce. Niepozorny Obieżyświat, poznany przez hobbitów w Bree jako wędrowiec w znoszonych szatach, na koniec „Władcy Pierścieni" jest królem. Stało się tak, jak zapowiadał wiersz:

„Nie każde złoto jasno błyszczy; nie każdy błądzi, kto wędruje; nie każdą siłę starość niszczy; korzeni w głębi lód nie skuje. Z popiołów strzelą znów ogniska i mrok rozświetlą błyskawice; złamany miecz swą moc odzyska; król – tułacz wróci na stolicę".

Istna katastrofa. Eukatastrofa.

Duchowość ze Śródziemia

Kiedy – będąc w czwartej klasie – pierwszy raz czytałem tolkienowską trylogię, traktowałem ją po prostu jako dobrą książkę. Naiwnie i idealistycznie nie dostrzegałem pewnych mechanizmów, które w naszej, nieco drapieżnej rzeczywistości funkcjonują jednak trochę inaczej. Sam Tolkien pisał, że gdyby do wojny o pierścień przyłożyć normy i zasady naszego świata, to Saruman niewątpliwie sam stworzyłby swój własny pierścień, Gondor by upadł, a zło zwyciężyłoby. Jaka jest więc naczelna zasada przedstawionego świata? Dopiero z czasem dostrzegłem, że właściwie całe legendarium stworzone przez profesora jest jakby zbiorem przeplatających się przypowieści, w których każdy – zależnie od swojej aktualnej sytuacji – może się odnaleźć. Każdy może znaleźć takiego bohatera, którego historia stanowi metaforyczną ilustrację konkretnego stanu duszy. Odgradzasz się od problemów świata i zamykasz w światku własnej duchowości? Uważaj, bo możesz podzielić losy króla Turgona. Twierdzisz, że pycha jest twoją główną wadą? Zapoznaj się

z historią Feanora lub Ar-Pharazona. Mnożą się przed tobą przeciwności? Spójrz jeszcze raz na Aragorna.

Do mnie osobiście najmocniej przemawiają dwie postacie: Bilbo Baggins i Król Theoden. Ten pierwszy był hobbitem, w którym ścierały się ze sobą dwie natury: amatora własnego domu i poszukiwacza przygód. Wybrał (zdawałoby się, że ostatecznie) bezpieczniejszą opcję – ciepłą, hobbicką norkę i regularne posiłki. Druga część jego duszy została stłumiona, realizując się jedynie w długich spacerach i zamiłowaniu do bohaterskich opowieści. Jednak pewnego dnia przyszedł do niego Gandalf i „wkręcił" go w wielką przygodę, która zawiodła biednego Bilba aż pod Samotną Górę i z powrotem. Odnajduję się w tej historii, ponieważ sam swego czasu odnalazłem spokój we własnym domku zbudowanym z książek, opowieści i niesamowitych historii, ale w końcu przyszedł Bóg (którego typem w Śródziemiu jest właśnie Gandalf) i wysłał mnie na prawdziwą przygodę. Wysłał mnie na duchowe zmagania z samym sobą podczas formacji seminaryjnej. Wysłał do harcerstwa na wędrówki po górach, spanie pod gołym niebem w środku lasu i mycie

w zimnym strumieniu. Chwała Mu za to. Drugą postacią jest Theoden, z którym również wielu z nas może się z pewnością w jakimś stopniu utożsamiać. Dobry król stopniowo omotany przez nieprzyjaciela. Zaczęło się niewinnie, od jednego podszeptu, od pochlebstwa ze strony sługi, który z czasem stał się najbardziej zaufanym doradcą i doprowadził swojego władcę do ubezwłasnowolnienia. Znamy to, prawda? Tak działa grzech. Z początku delikatnie, niby nic złego się nie dzieje. Z czasem pokusa może stać się jedynym słyszalnym przez nas głosem, jedynym doradcą, naszym Grimą Gadzim Językiem. Co wtedy zrobić? Czy jest wyjście z takiej sytuacji? Król Rohanu miał szczęście – interweniował Gandalf. Otworzył drzwi pałacu, wyprowadził króla na światło, pozwolił mu oddychać świeżym powietrzem i przegnał fałszywego doradcę, sączącego jad w uszy słuchających go. I my w takiej sytuacji potrzebujemy interwencji. Musimy dać się poprowadzić Bogu z ciemności grzechu do światła prawdy, przejść przez drzwi sakramentu pokuty i pojednania. Odetchnąć powietrzem łaski uświęcającej.

Święty Janie z Tołkin, módl się za nami

Z poprzedniego numeru „Adeste" można było się dużo dowiedzieć o świętości, o tym, że wszyscy jesteśmy do niej powołani i że nawet teraz otaczają nas święci – tacy nasi, powszedni, acz wielcy święci. Jedną z takich osób jest J.R.R. Tolkien. Gorliwy katolik, wzorowy mąż i ojciec, uczciwy przyjaciel. Twórca świata przesiąkniętego chrześcijańskim, ba, katolickim wręcz duchem. Co i rusz w środowisku fanów pisarza pojawiają się postulaty (niestety mocno nieformalne) odnośnie do beatyfikacji mistrza. Nie trzeba daleko szukać – niedawno na KUL-u miało miejsce sympozjum poświęcone Tolkienowi „Dzieło zasadniczo religijne i katolickie?", rozpoczęte mszą w intencji beatyfikacji oksfordzkiego profesora. Niestety na razie jedynym osiągnięciem takowych prób jest zatwierdzenie modlitwy o cud za wstawiennictwem Tolkiena. Modlitwę tę przetłumaczyli fani działający przy portalu „Elendilion", a brzmi ona następująco:

„Błogosławiona Trójco, dziękujemy Ci za tę łaskę dla Kościoła, jaką było życie Johna Ronalda Reuela Tolkiena i za to, że dopuściłaś, żeby poezja Twojego Stworzenia, misterium Pasji Twojego Syna i symfonia Ducha Świętego zaświeciła blaskiem poprzez niego i przez jego twórczą wyobraźnię. Ufając w pełni w Twoje nieskończone miłosierdzie i w matczyne orędownictwo Maryi, dał nam on żywy obraz Jezusa, Mądrości Wcielonego Boga, a także ukazał nam, że świętość jest niezbędną miarą zwykłego chrześcijańskiego życia i jest drogą dla osiągnięcia wiecznej komunii z Tobą. Daj nam, przez jego orędownictwo, zgodnie z Twoją wolą, te łaski, o które prosimy, z nadzieją, że będzie on wkrótce zaliczony do społeczności Twoich świętych. Amen".

Onen i-EstelEdain, û-chebinestel anim...

Masz doła? Trudną sytuację? Wszystko jest bez sensu? Czujesz, że już nie dasz rady? Możesz spróbować poszukać nadziei w twórczości mistrza Tolkiena. Albo lepiej – zanurz się w eukatastrofie ludzkości, eukatastrofie wcielenia. Zaufaj Zmartwychwstałemu. Powierz się Temu, na którego przyjście czekamy podczas adwentu, a dasz radę wypełnić powierzoną ci misję: jak Frodo niosący pierścień do Mordoru, jak Aragorn wypełniający swoje przeznaczenie, jak Gimli i Legolas kroczący wspólnie drogą przyjaźni, jak Faramir postępujący według tego, co słuszne. Dasz radę. Przecież Pan powiedział: „Wystarczy ci mojej łaski. Moc bowiem w słabości się doskonali" (2 Kor12, 9).

Wiara w dniach, które nadejdą

Michał Sadowski

Stanisław Lem, odchodząc z tego świata, prawdopodobnie do końca konsekwentnie twierdził, że po śmierci nie ma już nic. Jednak kwestie dotyczące Boga a także rzeczy ostatecznych zajmowały jego umysł, czemu daje wyraz w swojej twórczości. Ten wybitny pisarz zostawia ludzkości dzieła, w których kryją się pytania, na które ludzie wierzący powinni spróbować odpowiedzieć. Być może Lem wiedział o człowieku coś, o czym na co dzień rzadko myślimy.

Czasem słyszymy, że kwestią czasu jest obalenie dogmatów przez naukę. Dogmaty nie są przecież jakąś przeszkodą na drodze czynienia sobie ziemi poddaną. Wydaje się, że to bardziej człowiek chce udowodnić sobie, że jest w stanie panować nad wszystkim, co go otacza i przekraczać kolejne bariery. Tak jak w leśmianowskiej balladzie *Dziewczyna*, nie istnieje nic, co by mogło zatrzymać jego wysiłki. Nawet śmierć.

Podczas swej dwudziestej pierwszej podróży Ijon Tichy ląduje na planecie Dychtonii. Na planecie tej, zgodnie z wiedzą Tichego, miały żyć istoty

łudząco podobne do ludzi. Po wylądowaniu na powierzchni planety okazuje się jednak, że wiedza, którą posiadał na temat tamtejszej cywilizacji, jest już mocno nieaktualna. Postęp naukowy pozwolił Dychtończykom na osiągnięcie rzeczy w pojęciu ziemian niewyobrażalnych. Hodowla mebli metodami przypominającymi uprawę roślin spośród wszystkich tych wynalazków brzmi najbardziej prawdopodobnie, gdzie zaraz po tym mowa jest o unieśmiertelnianiu, odwracaniu procesu rozwoju osobniczego, hibernacji itd.

Tichy trafia w ręce tajemniczych zakonników, którzy żyją na uboczu i niejako w konspiracji. Później okazuje się, że owi zakonnicy są robotami i pełnią na tej planecie służbę kustoszów historii. Z bogatego (choć nielegalnego) księgozbioru Tichy zgłębia historię dziejów Dychtonii. Mieszkańcy owej planety w swych religijnych wierzeniach do pewnego stopnia przypominają chrześcijan, jednak religia dychtończyków (zwana duizmem) przypomina bardziej pewien sposób tłumaczenia zjawisk niejasnych, których nauka (jeszcze) nie potrafi wyjaśnić.

Świat według wybitnego krakowianina

Pisarstwo Lema to jeden wielki palimpsest. Ma w sobie wiele warstw znaczeniowych, do których dokopywać się należy przez sterty alegorii i plątaninę specyficznego lemowskiego języka. Autor stworzył pewien unikalny sposób umieszczania naprawdę ważnych treści w tej z pozoru nie do końca poważnej formie. Zapewne gdyby dać do przeczytania jedno z dzieł Lema dwóm osobom pochodzącym z innych pokoleń, okazałoby się, że zupełnie co innego wyniosłyby one z lektury. Lem przecież w swoim życiu widział naprawdę wiele. Był w końcu świadkiem niemieckiej okupacji Lwowa, z którego pochodził, a także, będąc już dorosłym człowiekiem, obserwował na własne oczy rzeczywistość PRL-u. Często przemycał w swoich dziełach

ostrą satyrę na rzeczywistość zastaną po 1945 roku.

Wróćmy jednak do Ijona Tichego i jego podróży. Okazuje się, że dychtończycy osiągnęli tak wielką biegłość we władaniu naturą, że zdolni byli do manipulowania właściwie każdym aspektem swojego bytu. Co ciekawe to właśnie dogmaty duizmu popchnęły Dychtończyków do poszukiwań i późniejszych odkryć. Nieskrępowane możliwości modyfikacji swych ciał i możliwości intelektualnych będąc początkowo wielkim tryumfem nad wszelkimi ograniczeniami stały się ostatecznie przyczyną upadku i popadnięcia w niewolę.

Wiara, którą kultywowały roboty-zakonnicy to wiara naga, pozbawiona jakiegokolwiek sensu. Jak sami twierdzą, nic co jest jej przedmiotem nie jest określone i opracowane raz na zawsze. Dotychczasowe pewniki takie jak nieśmiertelna dusza upadły pod ogniem odkryć naukowych. Wiara stała się jedynie manifestacją wolnej woli, która to w totalitarnym państwie nie może zostać pozostawiona sama sobie. Wydaje się, że na Dychtonii jedyne istoty, które w czymkolwiek przypominają ludzi to właśnie roboty. Człowiek oddawszy się obłędowi przekształcania natury zgodnie z własnymi pragnieniami, stał się odrażającym tworem, który trwa zupełnie bez celu, skoro nauka pokonała śmierć.

I wtedy wchodzi on, cały na czarno

Lem, prowadząc czytelnika przez te nieprzyjemne obrazy, stawia pytania o kres człowieczeństwa. W końcu do tego prowadzi historia dychtończyków. Czy zatem taki los spotkać może i to w co wierzą wyznawcy Chrystusa? Jak wyglądać będzie Kościół w przyszłości?

Na to pytanie już wiele lat temu padła odpowiedź. Udzielił jej prawdziwy tytan ducha i intelektu jakim jest Joseph Ratzinger, obecnie

papież emeryt Benedykt XVI. W latach 1969–1970 wygłosił on serię odczytów na falach różnych rozgłośni w Watykanie oraz w RFN. Zostały one ostatecznie spisane i wydane w małym tomie pod tytułem Wiara i przyszłość (Glaube und Zukunft). Przyszły biskup, a jeszcze później kardynał i papież w odczycie wygłoszonym w lutym z 1970 w Radiu Watykańskim (polskie wydanie z 1975 nadaje mu tytuł Przyszłość świata przez nadzieję człowieka) porusza temat kondycji człowieka w świecie współczesnym, jego ideałów, marzeń i nadziei z jaką patrzy on w przyszłość. Uwadze Ratzingera nie umknęły współczesne mu dokonania człowieka w osiąganiu wcześniej niedostępnych miejsc czy odkrywaniu coraz to nowych możliwości ujarzmiania świata. Widzi on, że na sztandarach człowiek nosi raczej hasło „postęp" niż „tradycja" czy „wiara". Oczekuje się nadejścia nie Królestwa Bożego, lecz raczej Królestwa Człowieka, kiedy to zbudowane zostanie ono przez wysiłek ludzki a nie przez udzieloną łaskę.

I co dalej?

Utarło się, że wiara i technika to rzeczy wobec siebie wrogie. Stereotypowy człowiek wiary winien odrzucić technikę i być wobec niej maksymalnie nieufny. Zapewne nie brakuje takich osób, które spoglądają na rozwój techniczny, marząc o przedtechnicznej idylli. Ratzinger jednak trzeźwo stawia sprawę: nie trzeba być wobec postępowi nieufnym. Wszystko przecież zależy od tego, w jaki sposób zostaną wykorzystane owoce rozwoju techniki. Źródłem zagłady nie jest sama technika. To my nosimy jej zalążki tej zagłady w sobie. Tak też i Chrystus, przychodząc na świat, nie zrobił tego, by poprawiać dzieła ludzi, lecz przemieniać ich od wewnątrz. Bóg nie jest wziętym z tragedii greckiej „deus ex machina", chociaż często takie myślenie wśród wierzących panuje i zapominają o tym, że to od nich samych należy zacząć poprawianie świata. W innym odczycie Ratzinger stwierdził, że rolą teologa nie jest paranie się przewidywaniem przyszłości. W pewnym stopniu futurologia i teologia mogą iść ramię w ramię i próbować obliczyć pewne następstwa teraźniejszości, lecz czy tak naprawdę da się stworzyć ogólny wzór ludzkich zachowań i wyborów?

Kultura popularna raz po raz produkuje kolejne wizje przyszłości, które nie zawsze wyglądają optymistycznie. Często przecież pokazywane są następstwa kataklizmów wywołanych przez człowieka, nierzadko przez technologię, która wymknęła się spod kontroli. Obaj autorzy żyli w podobnych czasach i przyglądali się tym samym zjawiskom. Tam, gdzie Lem widzi logiczne konsekwencje pewnych działań, brakuje gotowych remediów na takie zjawiska. Lemowskie pytania zostają pozostawione czytelnikowi do samodzielnej refleksji. Ratzinger wpasowuje się w ten dramat i daje krzepiące odpowiedzi. Naszą nadzieją pozostaje jednak to, że tak jak Ijon Tichy opuścimy pewnego dnia ten świat, tak jak on odleciał z Dychtonii. Miejmy jednak wiarę w to, że nie pozostawimy tego wszystkiego za plecami w podobnym stanie.

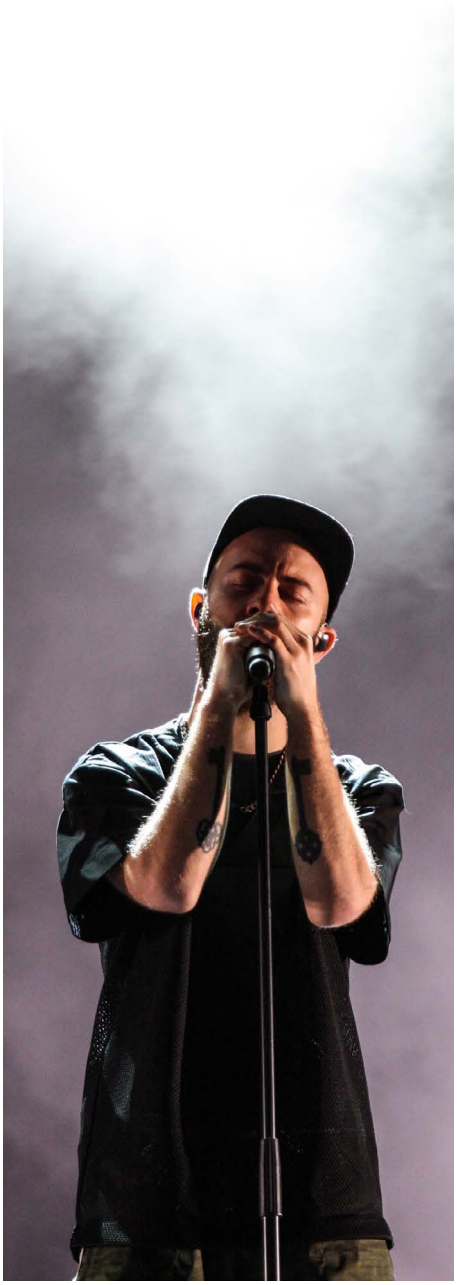

Młody papież popu

Piotr Krajski

W wieku 12 lat przyjął chrzest, a w swojej twórczości odnosi się do chrześcijańskiej symboliki. Jednocześnie jest homoseksualistą, który opowiedział się za Emanuelem Macronem. Kim naprawdę jest Woodkid?

Ciemna sala koncertowa, na scenie białe stroje członków orkiestry. Przed nią stoi nieruchoma ciemna sylwetka. Zapala się światło: biała, niebotycznie długa koszula, kapelusz z szerokim rondem i idealnie przystrzyżona broda mogą przywodzić na myśl hipstera. Pierwsze skojarzenie może być także odmienne. Na przedramionach artysty można dostrzec wytatuowane klucze. Skrzyżowane ze sobą ilustrują okładkę jego jedynej płyty: „Zdecydowałem się użyć kluczy, ponieważ symbolizują religię – papieskie klucze i Watykan. Religa jest bardzo ważna dla mojej muzyki" – mówi Woodkid, muzyk pełen sprzeczności, dobrze oddający charakter naszej zagubionej współczesności.

Woodkid, czyli Yoann Lemoine, to Francuz o polsko-żydowskich korzeniach. Choć w wieku dwunastu lat przyjął chrzest i w swojej twórczości odwołuje się do symboliki chrześcijańskiej, jest jednocześnie homoseksualistą, który nie wahał się zabrać głosu przy wyborach prezydenckich we Francji, jasno opowiadając się za Emanuelem Macronem.

To człowiek o wielu twarzach także ze względu na swoje zainteresowania. Studiował animację i rysunek, pracował przy *Arturze i Minimkach* Bessona, a także *Marii Antoninie* Sophii Coppoli, tworząc do nich grafiki i animacje. Pracował także w reklamie (na co wpływ miał zapewne fakt, że jego oboje rodzice pracowali w agencjach reklamowych). Pracował m.in. dla *Diora* oraz francuskiej telewizji dziecięcej tworząc animowaną reklamę, za która dostał nagrodę na festiwalu filmów reklamowych w Cannes.

Woodkid nie czuł się jednak dobrze w świecie reklamy, w jednym z wywiadów przyznał: „Jako dziecko nie miałem w sobie takiej nienawiści do reklamy jak teraz". Być może to był jeden z powodów, dla których Lemoine głównie poświecił się muzyce. Zanim wydał płytę był przede wszystkim znany z reżyserowania teledysków dla innych muzyków: Moby'ego, Lany Del Rey, Katy Perry czy Rihanny.

Jego własny, debiutancki album był tworzony przez cztery lata, co dobrze oddaje to, w jak dokładny sposób muzyk realizuje swoje wizje (wystarczy zobaczyć jak widowiskowe i przemyślane pod względem wizualnym są jego koncerty). Dwa słowa mają tu znacznie i odwołują się do tego, co stanowi temat przewodni nie tylko

płyty, ale i całej twórczości muzyka. Jego sceniczny pseudonim „Woodkid" odwołuje się do czasów dzieciństwa, zbitka dwóch słów: „drewno" i „dziecko". To zobrazowanie jego własnego doświadczenia. Lemoine dorastał na francuskiej prowincji i to właśnie naturę utożsamia z dzieciństwem. Nazwa płyty *The Golden age* odwołuje się do tego okresu, złotego czasu, który przeminął, który został bezpowrotnie utracony. Bohaterem płyty staje się dziecko, które „dorasta i przekształca się w kamień i marmur, które reprezentuje miasto". Te symbole przewijają się przez całą płytę. *The Golden Age* jest metaforyczną opowieścią o przemianie naznaczonej niezgodą i buntem. Wyczuwalny dramatyzm jest jednocześnie niezwykle wzniosły. Nazwać płytę Woodkida popową byłoby przekłamujące, dlatego sam muzyk nazywa swoją twórczość epickim popem. W wielu utworach obecne są chóry, bębny, organy, trąby, marszowe tempo. Walka to jeden z motywów jego utworów, a świat w jego teledyskach zdaje się rozpadać.

Pierwszy utwór, który bierze swą nazwę z tytułu płyty to właściwe 10-minutowy krótki metraż. Woodkid ukazuje miejsce przypominające tereny Missisipi, a jednym z nieodłącznych elementów jest błoto, ziemia i brud widoczny na bohaterach i na dziecku, które staje się bohaterem teledysku. Ten brud zdaje się ukazywać namacalność dzieciństwa, bliskość z naturą. Ona sama jest tu bohaterem i w tonacjach czerni i bieli może nabierać nawet nieco groźnego charakteru, ale słowa z piosenki „golden age is over" zdają się sugerować, że to zmierzch nad doliną jest groźny. Utwór

kończą niepokojące organy, a chłopiec być może ostatni raz spogląda na dłoń zaciśniętą przez dłoń śpiącego rodzica z poczuciem, że czas spokoju i bezpieczeństwa właśnie się kończy.

Pomimo tego mrocznego klimatu, na początku teledysku towarzyszy nam pełne słońce wypełniające taflę wody, przez którą płyną mężczyźni i chłopcy. „Walking on the fields of gold" – ta pierwsza fraza jest być może odwołaniem do utworu Stinga *Fields of gold*:

„Many years have passed since
those summer days
Among the fields of barley
See the children run as the sun
goes down
Among the fields of gold"

The Golden Age niewątpliwie naznaczone jest tym samym odczuciem, wykraczającym poza sentyment, bo będącym pragnieniem odzyskania tego świata. Teledysk ukazuje jednocześnie wielopokoleniową i wielodzietną rodzinę, a słowa: „Boy, we're family. No matter what they say" brzmią niemal jak deklaracja, jak opowiedzenie się za światem, który dla współczesnego zachodniego społeczeństwa jest czymś obcym, a nawet uznawanym za niebezpieczne.

W pierwszym utworze płyty jest też już podkreślone pouczcie nie tylko straty, ale i upadku jaki wiązać może się z okresem dorastania, czy z samym dorosłym życiem: „Did you ever feel, we're falling as we grow?"

W teledysku do utworu *Iron* obraz pozostaje nadal czarno biały, ale tym razem jest on bardziej wystylizowany. Na muzyczną scenę mocniej wkraczają bębny. To muzyka wojenna i taki także jest tekst utworu. W teledysku jeden z bohaterów unosi czarny sztandar ze skrzyżowanymi białymi kluczami, które pojawią się w teledysku kilkukrotnie pod różnymi postaciami. Czy są czymś więcej niż estetycznym zapożyczeniem z kościelnej symboliki?

„A soldier on my own, I don't know
the way
I'm riding up the heights of shame
I'm waiting for the call, the hand on
the chest
I'm ready for the fight and fate"

Ta jedna zwrotka ukazuje potrzebę określenia kierunku, otrzymania wezwania: „Z dłonią na piersi, jestem gotowy na walkę i przeznaczenie". Może to wyrażenie potrzeby jednoznaczności i działania ukierunkowanego ku rzeczom wzniosłym, które zatracają się we współczesnym świecie? Jednak różne postaci wojowników wyrwanych jakby z odmiennych światów, mogą odsyłać także do dziecięcej wyobraźni. Kolorystyka teledysków Woodkida jest taka, jak świat widziany oczami dziecka: dzieli się na biały i czarny, droga jest jasna i prosta, a walka stanowi przygodę. Nie otrzymujemy tu jednoznacznej odpowiedzi, choć jednego jesteśmy pewni: rozpadu. Zapowiedziana ciemna noc z *The Golden Age* zamienia się tu w czarny grad meteorytów, który przetrzebia uciekającą armię wojowników. Książeczka z dwoma kluczami

przypominająca książeczkę do nabożeństwa rozpada się, zaczerniała od ognia.

Motyw ucieczki i rozpadu pojawia się także w teledysku do *Run, boy Run*, który zaczyna się obrazem modernistycznego budynku rodem z lat 20., który kończy również teledysk do *Iron*. Ten sam chłopiec ucieka, choć nie wiadomo przed kim:

„You'll be a Man, Boy!
But for now it's time to Run, it's time to Run!"

Ucieczka chłopca zdaje się ucieczką przed dorastaniem, być może przedwczesnym. W tekście padają słowa o ucieczce przed światem, który spróbuje złapać chłopca, o społeczeństwie, które próbuje zatrzymać jego bieg. Na końcu biegu wśród fantazyjnych potworów, statku i kolejnych symboli dziecięcej, a właściwe chłopięcej przygody – miecza i hełmu – zarysowuje się jednak wielkie miasto na wzór modernistycznego, miasta z wizji radzieckich i niemieckich architektów.

Miasto, choć jest groźne, jest jednocześnie czymś bardzo estetycznym, jak estetyczny jest mundurek szkolny chłopca, jak estetyczni są wojownicy i symbole kluczy. Można zadać pytanie o to, czy elementy, z których skleja swój świat Woodkid są zaledwie pewnym wizualnym zabiegiem, czy utrzymuje w sobie głębsze znaczenia?

Utwór *The Great Escape*, który jest bardziej optymistyczną wersją *Run Boy Run*, nie daje na to odwiedzi, choć staje się obrazem dającym nadzieję ukazując obraz światła, wyzwolenia i nieba (pada tu jednak słowo „sky" a nie „heaven").

„Cos boy I feel that men are meant to be
More than the shadows of each other"

Utworem jeszcze mocniej zadającym pytanie o religijne motywacje twórcy jest *Stabat Mater*:

„Now the night is bathing in disgrace,
Hey, do you still braid some flowers in your hair,
Come the sound of boots and metal chains,
Hey, will the perfume of the daisies remain?"

Czy idąc za tytułem te słowa mogą odnosić się do Matki Bożej, czy znów jednak słowa o wojnie, która kiedyś była „jedynie grą" nie jest znów odniesieniem do dzieciństwa? A może jednak można to połączyć. Woodkid – tłumacząc swoje odniesienie do papieskich kluczy – mówił, że „reprezentują mnie jako dziecko pragnące stać się dorosłym, są powiązane z motywem religii i wojny".

Religia jako wojna, jako zmaganie, w którym podejmuje się trud życia w świecie. O idei „Ecclesia Militans" – „kościele wojującym" przypominał chociażby Benedykt XVI. Zdaje się jednak, że w przypadku francuskiego muzyka to wojenne zmaganie, ten wewnętrzny konflikt osadzony jest bardziej na osobistym zmaganiu sprzężonym z końcem dzieciństwa i własną seksualnością. Ale czy w dzieciństwie nasza wiara nie jest jasna i prosta? Świat czarno-biały jak w opowieści muzyka, gdy Bóg jest dla nas pewną ostoją, gdy wystarczy nam zapewnienie własnych rodziców o sensie wiary. Wraz z dorastaniem nie tylko tracimy to uczucie, ale pojawiają się pytania, wątpliwości i nie znajdujemy na nie prostych odpowiedzi. Niektórzy oddalają się od Boga, a dorastanie staje się jednocześnie momentem utraty wiary.

Tego elementu można się dopatrywać w twórczości Woodkida, nawet jeśli tak silnie na pierwszy plan wysuwa się element estetyczny. Widać, że artystę intryguje religijna muzyka z jej podniosłością, estetyczny monumentalizm i pewna tajemniczość symboli i pojęć. Jednak trudno także zapomnieć o homoseksualizmie twórcy. Niektóre z utworów Woodkida są piosenkami miłosnymi i choć nie zawierają one w sobie jednoznacznych odniesień, naznaczone są bardziej cielesną niż duchowa miłością, tak jak w *The Shore*, choć teledysk do *I love* kieruje nas na początku do przestrzeni Kościoła. Chyba że to pewien rodzaj prowokacji, jakiej podjął się chociażby Hosier w utworze *Take me to the church*, odrzucając krytykę homoseksualizmu głoszoną przez Kościół. Przypadek Woodkida jest jednak odmienny: „Nie jestem religijny, nie w dogmatycznym sensie. Dorastałem w katolickich instytucjach i musiałem się modlić każdej nocy, ale to były bzdury. Jestem bardzo uduchowiony i modlę się po swojemu, ponieważ wierzę w coś większego. Nie lubię myśleć, że na te bardzo intymne i istotne metafizyczne pytanie o sens życia można odpowiedzieć w ten sam sposób dla każdego człowieka żyjącego na tej planecie".

Z drugiej strony po ataku na redakcję *Charlie Hebdo* w 2015 r. Woodkid napisał na Twiterze: „Nie zapominajmy, że religia oznacza braterstwo, wybaczenie i wiarę dla większości wierzących. To jest piękne. Potępiajmy dogmatyzm, nie religię". Odnosząc się do słów z *Boat Song*, czy „możemy płynąć prosto? Albo będziemy zdmuchnięci z kursu? Czy jesteśmy narzędziami przeznaczenia, czy naprawdę mamy wybór?". Jakiego wyboru ostatecznie dokona Woodkid, jeśli uwierzy, że ma taką możliwość?

Tatko! Tatko! Gody idą – jużci prawdę mówię!

Szymon Kozieja

Pokryta strzechą chatka na skraju zacisznej wsi. Słychać szum jesiennego deszczu. Jest 11 listopada, dzień liturgicznego wspomnienia św. Marcina – dawniej pierwszy dzień Adwentu. W ten dzień ustają wszelkie prace związane z jesienią – zaczyna się zima... Dzieci wyglądają z uśmiechami za okno, obserwując ulewę. Cieszą się na samą myśl nadchodzącej zabawy w śniegu, gdyż siwy dziadek mówi im, że wedle prawidła „Święty Marcin po wodzie, Boże Narodzenie po lodzie". Chłopi żyli ówcześnie w symbiozie z naturą, a święta były wplecione w naturalny cykl życia – stawały się wyznacznikami czasu prac.

Adwent – jest to dla chrześcijanina okres oczekiwania na narodzenie się Zbawiciela. Jezus przyjmuje ciało człowieka oraz ludzką naturę, i w tym momencie zaczyna dzielić z prostymi ludźmi wszelkie trudy życia. Rodzi się w ubogiej stajence – nie w pałacu, nie w bogatej rodzinie. Obraz ten musiał przemawiać do mieszkańców dawnej wsi polskiej. Boże Narodzenie, zwane ludowo Godami, oraz okres oczekiwania na nie – Przedgody – były uświęcone wieloma barwnymi zwyczajami, które po dziś dzisiejszy przebłyskują w naszych świątyniach i domach, choć często się przekształciły, bądź całkowicie – niestety – zanikły.

„Na świętego Marcina dużo gęsi się zarzyna"

Jedną z charakterystycznych tradycji związanych ze św. Marcinem było pieczenie „czarnych gęsi". Odbywało się to na pamiątkę wydarzenia związanego z życiem świętego. Żył on w okresie obalania dawnych pogańskich wierzeń i przesądów związanych

z kulturą Cesarstwa Rzymskiego. Według podania ludowego św. Marcin sprawując urząd biskupi w Toures, w czasie głodu kazał piec gęsi (które w starożytnym Rzymie miały status heroin w nagrodę za ostrzeżenie Rzymian przed nadchodzącym wrogiem) i rozdać je biednym głodnym. Sposób nadawania charakterystycznego zapachu i smaku gęsiom opisuje powiedzenie: „na Marcina gęś do komina" – w kominie, na rożnie nabierały one brązowego koloru, a często – by stały się czarne – tarzało się je w zaprawce z popiołu, słomy, miodu, pieprzu i imbiru.

Balansowanie między wiarą a mitem

I tutaj pojawia się pewna kwestia – pobożność ludowa mieszała się z praktykami niezwiązanymi z chrześcijaństwem. Choć większość dawnych tradycji zostało „ochrzczonych" w procesie inkulturacji, to jednak wiele z nich pozostało na długi czas w funkcjonowaniu. Na przykład z kości piersiowych gęsi wróżono pogodę na zimę – twierdzono, że biały kolor oznaczał zimę śnieżną, czerwony mroźną, a ciemne deszczową. Zjawisko religijności ludowej było obiektem zainteresowania wielu badaczy, zwłaszcza etnografów. Stefan Czarnowski dokonał uogólnienia cech charakterystycznych religijności ludowej. Zwrócił on uwagę, że religijność ta była uboga doktrynalnie. Chłop polski miał tendencje do naginania katolicyzmu do wyobrażeń i wzruszeń właściwych mu jako rolnikowi. Często obraz ten jest jednak za bardzo naciągany i przekrzywiany – ukazuje się ludność wiejską jako „ciemnotę", a jej tradycje jako „zabobon". Jest to błędny pogląd, ponieważ wiele przysłów wynikało z doświadczenia i miało pokrycie w rzeczywistości; była to wiedza przekazywana między pokoleniami, a w zakresie religijności chłop oddawał się całkowicie pod opiekę Bogu i jego świętym – element magiczny nie zdominował w ostateczności elementu wyznaniowego. Religijność ludowa była głęboko związana z życiem codziennym. Bardzo ważnym przykładem było przywiązanie do treści etycznych chrześcijaństwa ponad treści dogmatyczne – wynikało to z tego, że chłop rzadko dążył do „mędrkowania", wolał konkrety odnoszące się do życia. W swoim myśleniu etyczno-moralnym trwał on w twierdzeniu „tak postępowali ojcowie".

Głębokie przywiązanie się do tradycji, życia wspólnotowego, budowało bliskość mieszkańców wsi do parafii. Lud, według Stefana Czarnowskiego, był przywiązany do ustalonej obrzędowości, a każda odgórna zmiana w niej powodowała opór. Występowanie elementów „magicznych" wynikało właśnie z przywiązania do dawnych obyczajów, a także z braku wiedzy doktrynalnej, co jednak nie zmieniało głębokości wiary – wbrew pojawiającym się dziś głosom nie była ona czymś wyłącznie pokazowym. Wszystko było przeżywane w sposób sensualistyczny i mistyczny, zaś obrzędowość porządkowała rytm dnia, tygodnia i całych pór roku.

„Od świętego Marcina zima się poczyna"

Na bosych stopach pojawiały się buty, kończył się wypas zwierząt. Mniemano, że w ten dzień niedźwiedzie zapadały w sen zimowy. Od 12 listopada liczył się już Adwent zwany też Czterdziestnicą. Chłopi wierzyli, że ziemia jest istotą żywą i w okresie od Świętego Marcina do 25 marca, czyli Matki Bożej Roztwornej (Święto Zwiastowania NMP), Matka Ziemia odpoczywa. Nie można było jej budzić ze snu poprzez **żadne** prace ziemne, a nawet skakanie po niej. Kończono też wypas bydła. Wierzono, że ześle ona nieszczęścia na ludzi – było powiedzenie „kto ziemię w Adwent pruje, ta mu trzy lata choruje". Myślenie to pochodziło jeszcze z pogaństwa słowiańskiego, a swoje źródło miało w tym, że ziemia – po prostu – nie rodzi plonu w tym okresie.

„Suszenie" w Przedgodach, czyli poszczenie po staremu

Rozpoczynał się też okres zadumy, wyciszenia i pokuty. Poszczono w środy, piątki i soboty. Niewielkie ilości mięsa jedzono tylko w niedzielę, a w tygodniu powstrzymywano się ogólnie od najadania się do syta. Wierzono, że w tym okresie dusze zmarłych wracały do swych dawnych domów i odchodziły dopiero na Gody. W związku z tym był to okres modlitw w intencji zmarłych. Trwało też świniobicie – była to wielka uroczystość pojawiająca się tylko dwa razy w roku (raz przed Wielkanocą, raz przed Bożym Narodzeniem), podczas której zapraszano sąsiadów. Kobiety brały się za kądziele i przędły, skubały pierze oraz kroiły i udeptywały kapustę w beczkach. Mawiano wtedy „na święty Jędrzej szukają baby przędzy". Robiono też świąteczne ozdoby z przeróżnych materiałów: grochu, słomy, fasoli orzechów, wydmuszek, papieru i kolorowych srebereк. Od wspomnienia św. Łucji prowadzono także porządki w chałupach. Mężczyźni z chłopcami konstruowali szopki wykorzystywane potem w jasełkach. W długie, ciemne, zimowe wieczory staruszkowie snuli fantastyczne historie o wilkołakach, nieboszczykach, strachach i zmorach oraz żywoty świętych pańskich. Opowiadali oni o odpustach, weselach i wojnach...

„Paratus sum ad adventum Domini”

„Gotów jestem na przyjście Pana” – nie były to puste słowa. Lud pobożnie szykował swoje dusze – poszcząc i pracując. W atmosferze oczekiwania mijały piękne poranne msze adwentowe znane w Polsce już od czasów Piastów w XIII w. Wpasowywały się one w charakterystyczną dla Polski pobożność maryjną. Przynoszono świece nazywane roratnicami i odpalano je od największej z nich, przyozdobionej na niebiesko i biało, która była poświęcona Bogarodzicy. Śpiewano pieśń, od której wzięła się nazwa „roraty” – *Rorate caeli* – „Spuśćcie rosę niebiosa”. Przeżywanie tej mszy trwało na długo przed jej rozpoczęciem – w drodze do kościoła śpiewano „Boże wieczny, Boże żywy, Odkupicielu prawdziwy…”, a w kościele śpiewano przed liturgią godzinki poświęcone Maryi.

Kumo! Pierwsi to pastuszkowie byli w stajence!

Patrząc wstecz na dawne tradycje, często odczuwamy ich zanik w dzisiejszym świecie. Ta prostota i zarazem przywiązanie do tradycji są bardzo wzruszające. Musimy stanowczo sprzeciwić się popularnemu dziś myśleniu, że dawniej panowała „ciemnota i zabobon”. Oczywiście nie można też pójść w drugą skrajność, czyli przesadną mityzację tego okresu jako czasu, gdy wiara była czysta i nie skażona wśród ludu błędem. Tradycje wróżbiarskie miały się bardzo dobrze mimo ogólnej pobożności. Nie oznacza to jednak, że taki szczegół powinien nam przysłonić piękno ludowej pobożności, do jakiej warto wciąż wracać. Nie powinniśmy pozwolić, by źródło tradycji narodowej wyschło…

Czy katolik może słuchać Megadeth?

Nina Małgorzata Kogut

Ciężko jest szerzyć Ewangelię w miejscach takich jak klub, w którym właśnie odbywa się koncert blackmetalowy. Dlatego też podziwiam artystów, którzy otwarcie przyznają się do bycia chrześcijanami i dają swoim życiem wielkie świadectwo, którym może być ot, chociażby noszenie krzyżyka czy medalika. Tacy ludzie są permanentnie narażeni na różne ataki. Nihil novi, powiedziałby ktoś. Jednak artysta o światowej sławie jest kimś, kto ma w świecie trochę więcej do powiedzenia niż przeciętny zjadacz chleba. Patrząc na komentarze zamieszczane na profilach społecznościowych można wyciągnąć wniosek, iż ludzie liczą się ze zdaniem wielu sławnych muzyków, nawet jeżeli nie do końca zgadzają się z ich poglądami.

Dla przykładu: pan Roger Waters (były gitarzysta zespołu Pink Floyd, obecnie artysta solowy) wielokrotnie zachęcał do bojkotu Izraela oraz protestował przeciwko koncertowaniu w tymże kraju. Swoje działania argumentuje nieprzestrzeganiem przez Naród Wybrany uniwersalnych praw człowieka, tj. prześladowanie ludności palestyńskiej. Działania Watersa są różnie odbierane, w większości jednak dominują skrajne opinie, np. takie, że muzycy nie powinni się mieszać do polityki. Moim zdaniem to tylko świadczy o tym, jak wielkie znaczenie mają artyści na arenie międzynarodowej i że nie da się przejść obok ich opinii obojętnie. Ale do rzeczy.

„Diabelska" muzyka

Choćby nie wiem jak wiele powstało zespołów grających tzw. christian metal (do tego jeszcze wrócimy), nie można zaprzeczyć, że twórcy od zawsze inspirowali się źródłami zgoła innymi niż Pismo Święte. Jednakże pamiętajmy i nie dajmy się zwieść kłamstwu, jakoby heavy metal pochodził od samego Szatana. Zły nie ma mocy, by coś stworzyć, takim przymiotem włada jedynie Bóg. Człowiek natomiast działa dzięki

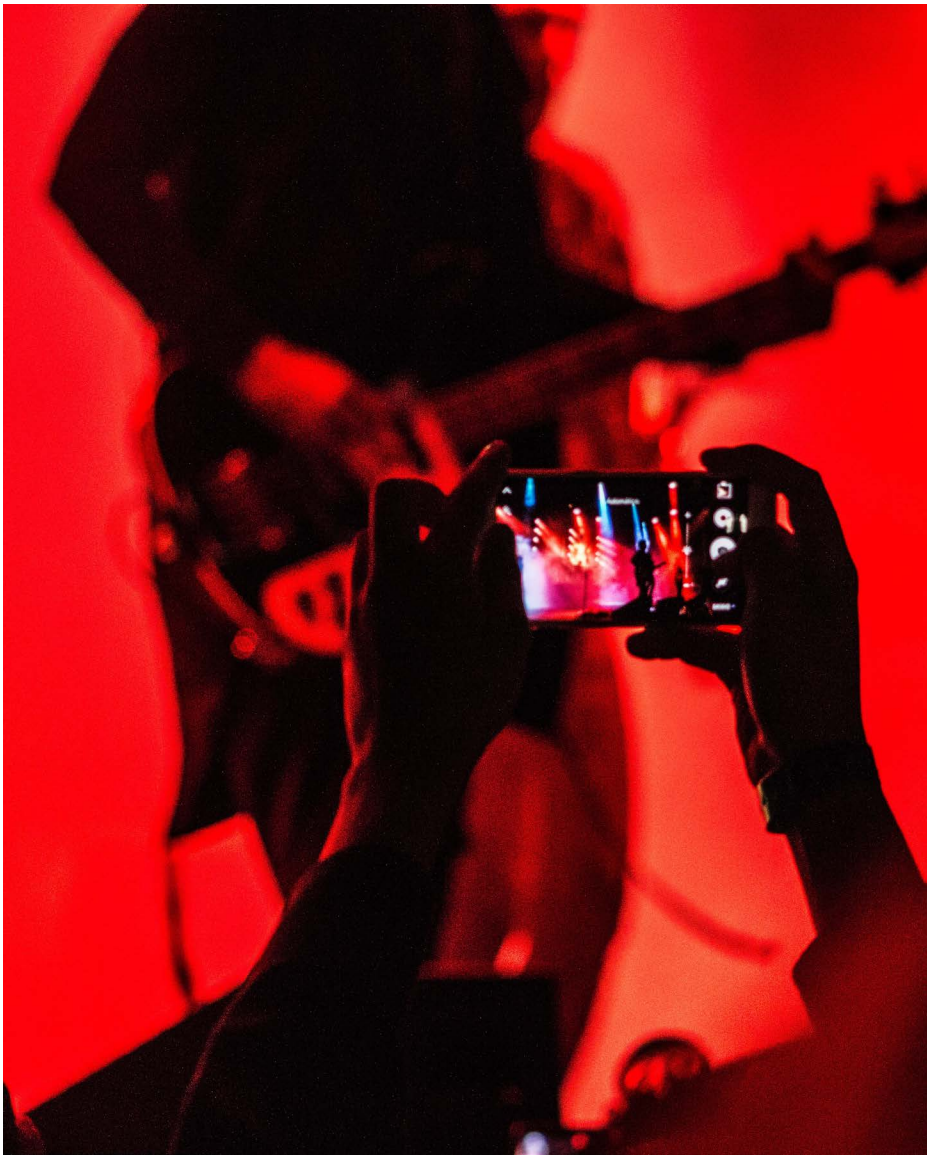

natchnieniu Ducha Świętego lub pod wpływem pokus Złego. Jeszcze w latach 70. twórcy często nie zdawali sobie sprawy, o czym tak naprawdę śpiewają i jaki to może mieć wpływ na młodych słuchaczy. Częstymi przedmiotami inspiracji były okultyzm, dzieła Aleistera Crowley'a, wprowadzano nawet elementy satanizmu. Dostrzec można też echa rewolucji seksualnej, przejawiające się w tekstach o treści erotycznej. Nic więc dziwnego, że środowiska kościelne były w owym czasie uprzedzone do rocka i metalu. Warto wspomnieć tutaj o zespole Black Sabbath, a konkretnie o jego początkach. Pierwotnie nazywał się Earth (choć i tak nie była to pierwsza nazwa). Okazało się jednak, że na terenie Anglii już funkcjonowała grupa o takiej nazwie, konieczne więc było „przechrzczenie" zespołu. Nowa nazwa, „Black Sabbath", została zaczerpnięta z filmu o takim samym tytule, ale także – co bardziej istotne – wizji, jakiej miał doświadczyć Geezer Butler, basista zespołu. Twierdził on, że kiedyś zobaczył ciemną postać przy swoim łóżku. To doświadczenie okazało się dla niego tak wstrząsające, że porzucił swoją fascynację okultyzmem. W późniejszym okresie działalności grupa protestowała przeciwko kojarzeniu jej z jakimikolwiek formami okultyzmu, miał to być jedynie image wykreowany przez wytwórnie płytowe. Nie zmienia to jednak faktu, że w utworze tytułowym debiutanckiego albumu grupy, czyli „Black Sabbath", pojawia się szatan, zaś Rob Halford (wokalista Judas Priest) określił go mianem „prawdopodobnie najbardziej diabelskiego na świecie".

Zakazani przez Kościół

Niestety zdarzało się, że ktoś za bardzo brał sobie do serca przekazy zawarte w piosenkach, nawet jeżeli faktycznie ich tam nie było. Nie sposób tutaj nie wspomnieć o głośnym procesie wspomnianego już zespołu Judas Priest. Poszło o piosenkę *Better By You, Better Than Me*. Po przesłuchaniu jej, w połączeniu z alkoholem i marihuaną, dwóch młodzieńców postanowiło popełnić samobójstwo. Jednemu się udało, drugi przeżył, lecz ze zniekształconą twarzą. Rodzice chłopców oraz prawnicy twierdzili, że w niniejszej piosence zamieszczony był przekaz podprogowy o treści „do it" („zrób to"). Utrzymywali, że to właśnie skłoniło ofiary do odebrania sobie życia. Proces trwał od 16 do 25 sierpnia 1990 roku i ostatecznie zakończył się oddaleniem powództwa. Nie pozostało to jednak bez wpływu na opinię publiczną. Można śmiało powiedzieć, że te wydarzenia prawie zniszczyły karierę Judas Priest. Innym znamiennym przykładem mogą być kontrowersje związane z grupą AC/DC oraz seryjnym mordercą Richardem Ramirezem. Mianowicie zostawił on na miejscu zbrodni czapkę z logiem tegoż zespołu, czasami malował też pentagramy. Podczas przesłuchań wyjawił, że inspiracją do jego działań stała się piosenka *Highway To Hell*. Co mogło to oznaczać, interpretację pozostawiam Wam. W końcu doszło do tego, że Kościół musiał zareagować i dlatego co jakiś czas można zobaczyć w Internecie obrazki przedstawiające „listę zakazanych zespołów", przy okazji doprowadzające niektórych internautów do białej gorączki. Jak pisał Grzegorz Kasjaniuk w publikacji pt. „Czego słuchasz? – Diabelska propaganda", wkraczanie egzorcystów na teren muzyki jest jak stąpanie po polu minowym. „Posiadając czyste intencje, nie mają przy tym w większości muzycznej wiedzy. Docierają podczas egzorcyzmów do faktów,

których nie mogą od razu zweryfikować pod względem poprawności pisowni nazw zespołów czy gatunków muzycznych". Lista zespołów i gatunków muzycznych skażonych działaniem demonicznym jest opracowana przez księży egzorcystów posługujących w Wielkiej Brytanii na podstawie informacji uzyskanych podczas egzorcyzmów. W Polsce posłużył się nią ks. dr Przemysław Sawa publikując broszurę *Zagrożenia duchowe. Podstawy chrześcijańskiej walki duchowej. Przygotowanie do modlitwy o uwolnienie*. Kontrowersje wzbudziła wspomniana lista zespołów przytoczona przez ks. Sawę w dziale pytań *Wybrane przestrzenie zagrożeń duchowych*, będących przygotowaniem do rachunku sumienia. O ile obecność na niej zespołów takich jak Slayer, Behemoth, czy Burzum nikogo nie zdziwiła, o tyle problem pojawił się, gdy zauważono, że znaleźli się tam też muzycy nawróceni. Lista spowodowała, że pojawiło się wiele szyderstw ze strony środowisk antykościelnych, lecz także samych chrześcijan. Nie mnie oceniać, czy jest to słuszne zachowanie, czy raczej przejaw fanatyzmu, zgodzę się natomiast z tym, że nawet nawróceni artyści, którzy w przeszłości w jakikolwiek sposób szydzili z Boga, już tej przeszłości nie cofną. Jako młodzi ludzie zamieszczali swoje blasfemie na nośnikach fizycznych, tj. płytach, które potem kupowali i kupują nadal słuchacze. Tego nie można już odwrócić, chyba że w jakiś tajemniczy sposób wycofają swoje albumy ze sprzedaży. Ks. Sawa argumentuje każdą z pozycji na liście: „nie ma przypadków". Jeszcze raz przytoczę słowa Grzegorza Kasjaniuka – „Etymologia wskazuje na autentyzm i choć rozpropagowana wersja zawiera błędy i literówki, to nie przesłaniają one ewangelicznego wezwania do wszystkich chrześcijan – radykalizmu pójścia za Jezusem".

Wszystko wolno, ale nie wszystko przynosi korzyść

Jeżeli mamy czepiać się szczegółów, to istnieje o wiele więcej zespołów, co do których nie ma wątpliwości, iż są wysłannikami szatana, a nie zostały wymienione. Sprawiłoby to, że lista byłaby o wiele dłuższa. Mówię tu oczywiście o zespołach z podziemia blackmetalowego i nie tylko. Smutna prawda jest taka, że bluźnienie Bogu już od dawna jest „w cenie", podobnie jak szokowanie na różne sposoby.

Niektóre zespoły, takie jak Behemoth czy Marilyn Manson, robią to celowo, po części dlatego, że jest to najtańsza forma wywołania kontrowersji na zasadzie „nie ważne, co mówią, ważne, że mówią". Na podobnej zasadzie działała afera związana ze spektaklem pt. *Klątwa*, której chyba nie muszę nikomu przypominać. Pocieszający jest fakt, że przynajmniej niektórzy twórcy posiadają tyle wrażliwości, że mają odwagę takie działania skrytykować. Wolność jest wspaniałym darem, pochodzącym od samego Boga. Pod warunkiem, że umiemy ją wykorzystać w odpowiedni sposób.

Muzyczny kompromis?

Jakby dla równowagi powstają także zespoły grające metal chrześcijański (co też nie jest nowością). Mowa tutaj o dobrze znanych zespołach, takich jak Luxtorpeda, 2Tm2,3, etc., których słuchają nawet księża. Warto także wspomnieć, że muzyka chrześcijańska (głównie gospel) jest bardzo popularna w Stanach Zjednoczonych. Jaki jest cel powstawania takich zespołów? Naturalnie chęć przeciwstawienia się „temu światu" oraz szerzenie Dobrej Nowiny w środowiskach wyjątkowo trudnych, gdzie stąpa się po kruchym lodzie. Często jednak zdarza się, że muzycy wywodzący się od uczniów Jezusa popełniają rażące błędy, przez co liczne zagubione owce mają fałszywy obraz naszej Owczarni. Na początku lat 80. XX wieku działalność swoją rozpoczęła grupa Stryper. Grali oni chrześcijański glam metal, zaś swoją nazwę zaczerpnęli z Księgi Izajasza (Iz 53,5), z Biblii Króla Jakuba. Perkusista grupy rozwinął także nazwę jako „salvation through redemptation, yielding peace, encouragement and righteousness" (zbawienie przez odkupienie, uzyskanie pokoju, chęci i sprawiedliwości). Jednak szczere chęci głoszenia Dobrej Nowiny o Chrystusie w środowisku glamowym, gdzie hasło „sex, drugs and rock'n'roll" było „sumiennie" wypełniane, odniosły skutek odwrotny od zamierzonego. Członkowie Strypera bowiem... Rzucali na koncertach w tłum egzemplarze Pisma Świętego, przez co stali się obiektem żartów. Z kolei współcześnie działa chrześcijański zespół wykonujący deathcore (odmiana death metalu) o nazwie Impending Doom. Wymyślili oni styl zwany przez nich „Gorship", który jest fuzją angielskich słów „gore" i „worship". Chodziło o to, by wielbić Boga poprzez brutalną i ciężką muzykę, nie zaś o kult przemocy gore, jak myśleli na początku fani. Rzeczywiście, debiutancki album zespołu nosi nazwę *Nailed. Dead. Risen*, co jest oczywistą aluzją do męki i śmierci Pana Jezusa. Czy jednak jest to dobry sposób na dawanie świadectwa swojej wiary? Impending Doom jest zespołem bardzo popularnym wśród przedstawicieli subkultury deathcore, można więc wyciągnąć kilka wniosków. Albo do młodych metalowców trafia taka forma ewangelizacji, albo tak naprawdę członkowie Impending Doom nie różnią się wiele od swoich ateistycznych lub nawet satanistycznych kolegów po fachu, nie stroniących od makabrycznych opisów w treściach piosenek. Czy mamy więc do czynienia z kompromisem? Być może, warto jednak pamiętać, że Zły nigdy nie śpi i zrobi wszystko, by splugawić działania chrześcijan.

Pan jest pasterzem moim... czyli nawrócenie Dave'a Mustaine'a

David Scott Mustaine jest sercem i mózgiem thrashmetalowego zespołu Megadeth, który pojawił się w tytule niniejszego artykułu

oraz znamiennym przykładem nawróconego muzyka metalowego i tego, że nigdy nie dowiemy się, jaką drogę wybrał dla nas Bóg. Dave urodził się 13 września 1961 roku w La Mesa (przedmieścia San Diego w stanie Kalifornia) jako ostatni z czwórki dzieci państwa Mustaine'ów. Już od najmłodszych lat musiał mierzyć się z problemami rodzinnymi. Gdy miał zaledwie cztery lata jego rodzice się rozwiedli. Przyczyną rozpadu rodziny miał być alkoholizm ojca Dave'a. Jak pisze w swojej autobiografii: „Trudno powiedzieć, czy to pogorszenie statusu powodowało eskalację problemów z alkoholem, czy też właśnie alkohol był przyczyną problemów zawodowych. Ale jedno jest pewne, że człowiek, który rządził domem Mustaine'ów w 1961 roku nie był tym samym, za którego wyszła matka". Rozwód rodziców zapoczątkował serię przeprowadzek, ponieważ przerażona mama Dave'a chciała się upewnić, że ojciec – pijak nigdzie ich nie znajdzie. To spowodowało, że mały Dave nie mógł znaleźć przyjaciół. Pozbawiony kogoś, kto mógłby mu zastąpić ojca, już wtedy zaczął się buntować. Przyzwyczaił się także do ciągłego dokuczania ze strony rówieśników. Kolejnym dramatem było wstąpienie jego matki i sióstr do sekty Świadków Jehowy. Te wydarzenia całkowicie wykrzywiły w chłopcu pojęcie religii i Boga, a także pozostawiły w psychice trwałą traumę. Przez to buntował się jeszcze bardziej, zaczął słuchać rocka, uczył się grać na gitarze, ponieważ sport nie przyniósł mu satysfakcji. Jako nastolatek zaczął eksperymentować z narkotykami, został też młodocianym dilerem. W wieku piętnastu lat musiał już radzić sobie całkiem sam. Wkrótce postanowił spełnić jedno ze swoich marzeń, mianowicie założyć zespół. Wraz z kilkoma znajomymi sformował swój pierwszy projekt – Panic. Nie przetrwał on długo. Po rozpadzie zespołu Dave

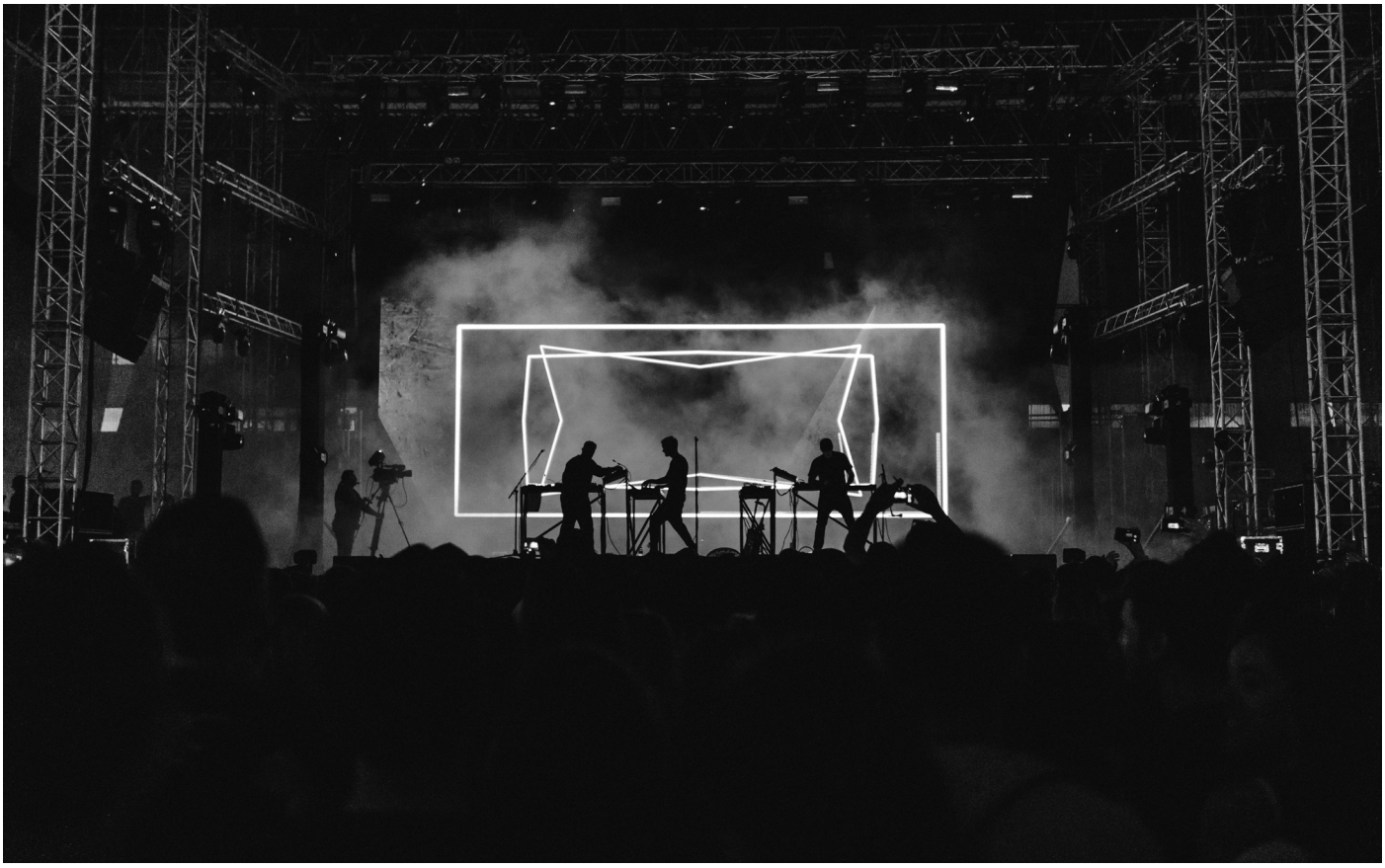

przeczytał w gazecie ogłoszenie. Zespół bez nazwy, niegrający jeszcze koncertów poszukuje zdolnego gitarzysty. Tym zespołem, jak się później okazało, była Metallica. Młodzieniec zauważył dla siebie nową szansę, coraz bardziej był świadomy swoich umiejętności. Zespół wyjechał do Nowego Jorku, by nagrać swój debiutancki album – *Kill'em All*. W tym miejscu warto wspomnieć, że Dave był autorem kilku piosenek, co stało się potem przedmiotem jego frustracji. Niestety kolejne koncerty były okazją do ponownego sięgnięcia po butelkę. Wtedy też uwydatniła się jedna z jego najgorszych cech – podatność na uzależnienie od alkoholu. Choć sam jeszcze tego nie widział, stał się podobny do własnego ojca. W stanie upojenia stawał się skrajnie nieprzyjemny i agresywny. Pewnego dnia miarka się przebrała i w 1983 roku nad ranem koledzy z Metallici obwieścili mu, że został wyrzucony. Mustaine wielokrotnie wspominał to wydarzenie, po latach określał je jako „jedno z najgorszych w swoim życiu". Oto nagle ludzie, którzy byli dla niego bliscy (zwłaszcza wokalista James Hetfield), którzy stanowili dla niego wręcz uosobienie rodziny, czegoś, czego nigdy nie doświadczył, stali przed nim i kazali mu się zbierać na autobus powrotny do Los Angeles. Dave odebrał to jako potężny cios, który byłby może do przełknięcia, gdyby nie fakt, że zespół wykorzystał jego kompozycje bez jego zgody i nie został uwzględniony jako autor. Choć z drugiej strony trzeba przyznać, że sam był sobie winien takiego stanu rzeczy. Ja jako osoba bardzo współczująca zdobyłam się na niezwykłą empatię, której większość z ludzi znających tę historię raczej by nie podzieliła, ale to już temat na inny artykuł. Dave nie omieszkał wypomnieć tej przykrej sytuacji Larsowi Ulrichowi, założycielowi i perkusiście Metallici, w filmie dokumentalnym pt. *Some Kind Of Monster* z 2001 r. Choć minęło tyle lat, Mustaine wciąż miał do kolegów żal, choć równocześnie mogło to być spowodowane jego ówczesnym złym stanem psychicznym oraz rozgrywającą się właśnie walką duchową.

Krocząc do Boga przez ciemną dolinę

Dave jednak nie poddał się i już wkrótce założył zespół Megadeth, który w pierwotnym założeniu miał być oczywiście konkurencją dla Metallici. Towarzyszył mu poznany przypadkiem David Ellefon, który zresztą także się nawrócił i został pastorem Kościoła Luterańskiego Synodu Missouri. Jednak początki nie były łatwe. Utwory napisane dla Metallici były jawnie bluźniercze, podobnie jak te skomponowane na pierwszą płytę Megadeth. Dave napędzany nienawiścią, nielegalnymi substancjami psychoaktywnymi i eksperymentami z czarną magią wykonał „wejście smoka" do przemysłu muzycznego. Jednocześnie cały czas zachował mu się w pamięci obraz Boga, po prostu Go nie uznawał. Zapytany w 1991 roku w szwedzkiej telewizji, czy wierzy w Boga, odpowiedział: „Tak, wierzę". Rozpoczęła się jego wielka kariera, Megadeth wydawał kolejne albumy, które odnosiły sukcesy. W międzyczasie Dave kilkakrotnie podjął się odwyku, okrzepł jako dobry mąż i ojciec. Widząc, co się z nim samym dzieje oraz kierując się poradami przyjaciół starał się zmienić swoje życie i uwolnić się od nałogu heroinowego, jednak jak na razie bez Boga. Zaczął też trenować taekwondo, aby jakoś wyładować agresję i znaleźć spokój. Te próby się jednak nie powiodły, Dave zaczął popadać w depresję. Znowu się uzależnił, tym razem od tabletek nasennych,

powrócił do alkoholu, a nawet do narkotyków. Sytuacja stała się na tyle poważna, że między małżonkami doszło do separacji. Historia zaczęła się powtarzać. W pewnym momencie Mustaine próbował nawet popełnić samobójstwo. Nie mógł poradzić sobie z otaczającymi go problemami, do których doszły także kłopoty w zespole oraz nieustępliwe demony przeszłości. Mimo to nie złamał się. Do czego musiało dojść, aby Dave w końcu zaufał Jezusowi? Ponieważ i tak już od dawna nie szanował swojego życia i zdrowia, nastąpił w końcu punkt zwrotny, który dotyczył jego bezpośrednio. W 2002 roku Dave przeszedł operację usunięcia kamieni nerkowych. W szpitalu doznał nietypowego wypadku, mianowicie zasnął na lewej ręce, przez co odciął dopływ krwi do bicepsa, uszkodził nerw i stracił w niej czucie. W takim wypadku pozostawały dwie opcje, albo trwałe kalectwo (lub nawet amputacja), albo długotrwała i bolesna rehabilitacja, która zresztą też nie gwarantowała sukcesu. Przerażony Dave chwytał się jak tonący brzytwy, by uratować swoją rękę. Bez niej bowiem nie mógł grać na gitarze, a to oznaczało koniec wszystkiego, co kochał, jego egzystencja nie miałaby sensu. Dopiero wtedy zawołał do Boga o pomoc. Wkrótce odzyskał sprawność w ręce i doświadczył duchowej przemiany. „W pewnym momencie, gdy wszedłem na ścieżkę prowadzącą do Boga, uświadomiłem sobie, jak bardzo Go wcześniej potrzebowałem. Kiedyś byłem złym człowiekiem. Teraz odkryłem swoje prawdziwe Ja i czuję się odmieniony".

Co to zmieniło?

Po nawróceniu Dave zmienił swój światopogląd, zrezygnował z grania na koncertach utworów obelżywych wobec Boga, stanowczo odmawiał występowania z zespołami satanistycznymi na jednej scenie (choć w przypadku zespołów, które nie są w tej kwestii jednoznaczne już nie było mu tak łatwo), błogosławił nawet publiczność. Przeprosił

wszystkich, którym kiedykolwiek wyrządził krzywdę, pogodził się z członkami Metallici, doprowadził do ładu swoje życie rodzinne. Innymi słowy: mamy przed sobą klasyczny przykład nawrócenia. Oczywiście Dave, jak każdy grzesznik, ciągle upada. Dalej przeklina, obraża ludzi na koncertach, a jego wypowiedzi na temat osobistej relacji z Jezusem są niejednoznaczne. Nadal nie pozbył się tendencji do bycia najlepszym, być może z obawy o utratę stanowiska jakie sobie dawno temu wywalczył. Boi się też, że zepsuje sobie dobre relacje z innymi thrashmetalowymi zespołami. Kasjaniuk w przytaczanej już publikacji „Czego słuchasz? – Diabelska propaganda" twierdzi, że brak rezygnacji z metalowej estetyki i ciągłe koncerty z zespołami takimi jak Slayer nie pozwala Mustaine'owi w pełni zerwać z przeszłością i umrzeć dla „ tego świata". Musimy modlić się za niego, aby nie bał się głosić imienia Chrystusa mimo wszystko oraz o dar pokory. Pamiętajmy także o każdym neoficie, każdym nawróconym muzyku metalowym, ale zwłaszcza o tych, którzy jeszcze do tego nie doszli.

To nie musi się wykluczać

Próbując odpowiedzieć na pytanie zawarte w tytule tego artykułu, powiem najpierw, że człowiek obdarzony jest rozumem i wolną wolą, o czym wiemy wszyscy. Możemy wykorzystać te dary jak nam się żywnie podoba, pamiętając jednocześnie, że kiedyś będziemy z tego sądzeni. Wiara może, ale nie musi się kłócić z naszymi zainteresowaniami. Muzyka istnieje tylko po to, by jakoś umilić nam czas na tym ziemskim łez padole. Czy aby jednak nie tracimy przez nią cennego czasu? Może zamiast wydawać pieniądze na drogi album twojego ulubionego zespołu metalowego, choćby nawet był zespołem chrześcijańskim, przekaż je osobie, która w tym momencie żebrze pod sklepem. Może warto poświęcić swój wolny czas pomagając w hospicjum lub nawet w naszym domu, okazując miłość naszym bliskim, zamiast być w tym czasie na koncercie. Dobrze jest też wiedzieć, o czym śpiewa dany artysta. Drogi Czytelniku, jeżeli chcesz mieć pewność, że nie słuchasz czegoś, co mogłoby Ci narobić duchowych kłopotów, przejrzyj tekst piosenki, którą aktualnie odtwarzasz. Czy nie ma w niej czegoś, co oddalałoby Cię od Boga? Nie możemy się tłumaczyć, że „Aaa, bo nie znam norweskiego i nie wiem, o czym śpiewają", albo „I tak nic nie słychać", czy „Słucham ich tylko ze względu na kunszt artystyczny, nie zaś dla treści, jakie przekazują". Teksty utworów muzycznych bądź ich tłumaczeń, nawet na język polski, możemy bardzo szybko znaleźć w Internecie. Jeżeli czujesz, że coś jest nie tak, przestań słuchać tego wykonawcy. Nie odkładaj poprawy zachowania na później, bo jest to grzech przeciwko Duchowi Świętemu. Jeżeli czujesz taką potrzebę, możesz udać się do spowiedzi. Staraj się omijać szerokim łukiem muzyków jawnie satanistycznych, a w przypadku tych mniej jednoznacznych zrób tak, jak podano w starych poradach kulinarnych: nie używaj, jeśli nie jesteś pewien.

Otwarte koperty

Krzysztof J. Namyślak

Anna M. Gawlik

Droga Anno,

NARESZCIE! Nareszcie rozpoczął się ten radosny czas oczekiwania. Już tak niewiele, prawie na wyciągnięcie ręki. Och, jaki ja jestem podekscytowany. Już trzeci rok z nowym entuzjazmem myślę o tym cudownym grudniowym święcie, do którego zimową porą przygotowuję się z innymi wyznawcami, odziany w płaszcz, wysokie skórzane buty i z rozpraszającym mrok światłem w dłoni. Całe to oczekiwanie skończy się, kiedy przy zgaszonych światłach i po hucznym wprowadzeniu pojawi się to wyczekiwane przez tak wielu słowo. To bardzo ważne, bo przecież tylko raz do roku zdarza się

takie święto, że do kin wchodzi *Star Wars Episode VIII – The Last Jedi*…

Coś się… Coś się popsuło. Co to ma niby być za religia?! Co ze mnie za katolik, jak ja z większą ekscytacją czekam na kolejny epizod ulubionej sagi aniżeli na narodzenie Pana naszego Jezusa Chrystusa? Jak bardzo w coroczną rutynę musiałem popaść, że do Świąt przygotowuję się tyle o ile, a przestępuję z nogi na nogę, myśląc o premierze? Strasznie mnie to irytuje i… tak na dobrą sprawę nie mam pojęcia, co z tym zrobić. Nawet zwykłego postanowienia adwentowego nie jestem sobie w stanie wykombinować. Zresztą wiem doskonale, że wśród katolickiego fandomu *Gwiezdnych Wojen* nie jestem w tym osamotniony.

Pochodziłbym częściej na roraty… Ale tu z kolei już dostaję drgawek na myśl, co pewna korporacja, która wywęszyła w roratach biznes, stworzy. I jak to zostanie wykorzystane przez księży. Nadal słyszę echo gitar, kastanietów, marakasów i infantylnie radosnego „dziewczyna z hiszpańskiego miasta – solo Dios basta, solo Dios basta”… Nie zrozum mnie źle – nie przeszkadza mi to w przeżywaniu Mszy świętej jako takiej. Jestem daleki od krzyczenia „profanacja!”, „tylko Msza trydencka!!”, „tylko na klęcząco!!!”. To są tylko takie dysonanse estetyczne, które mimo wszystko odczuwam. Trzeba to i owo zmienić, żeby…

STOP! Co ja chcę niby zmieniać w różnych dziedzinach, jak według pierwszego akapitu sam kwalifikuję się do generalnych zmian w kwestiach hierarchii wartości i ogólnego bycia katolikiem? Może jeszcze nie jest za późno, żeby z tym coś zrobić. Może zamiast odkładać to do greckich kalend, skoncentruję się na tegorocznym adwencie, żebym z czystym sumieniem na wspomnienie rzymskich „ósmych kalend stycznia i dwudziestego trzeciego dnia księżycowego” mógł wraz z chórami anielskimi zaśpiewać „GLORIA IN EXCELSIS DEO ET IN TERRA PAX HOMINIBUS BONÆ VOLUNTATIS”, a później trwać w tej ogłoszonej nam radości wielkiej, która jest udziałem nas wszystkich, że narodził się nam Zbawiciel, którym jest Mesjasz, Pan.

Czego i Tobie życzę,
Krzysiek

Drogi Krzysztofie,

Nieco mnie zdziwił Twój list. Jak możesz czekać na coś, co jest co rok. A *Gwiezdne Wojny* są co rok. Można by według nich kalendarz napisać! I ja zupełnie nie wiem czemu. I czemu Ostatni Jedi wcale nie będzie ostatni? Tytuł powinien zobowiązać. Historia uczy nas, że dokręcanie nowych części nie służy sadze. Nie, nie przekonasz mnie, że powstanie I, II i III części miało sens.

No, ale my chyba nie o tym…

Oczekiwanie na cokolwiek jest takie… Trudne. I nudne. No bo nic w tym czasie nie można zrobić. Siedzisz i czekasz. I nie masz wpływu. O to, to! Najgorsze, że nie masz wpływu. Nie możesz zrobić nic, żeby przyspieszyć, bo jakbyś mógł to byś zrobił. Więc czekasz… Czekasz… I czekasz… No zemrzeć można. Ja tam wolę coś robić. Oglądam film – robię coś dodatkowego. Słucham muzyki – robię coś dodatkowego. Nawet jak naczynia zmywam, to staram się ćwiczyć szare komórki. Bo nuda…

Z mojej obserwacji świata wynika, że świat (ja też?) lubi mieć wszystko tu i teraz. Nie lubi czekać. Bo to stawia w pozycji bezradności i poczucia, że nie ma wpływu się na

wszystko. I jest się zależnym od innych. A to najgorsze. Być zależnym…

Być zależnym to zmierzyć się z myślą, że nie wszystko zależy ode mnie, nie mam nad wszystkim kontroli. Co więcej, oddaję tę kontrolę. Świadomie i dobrowolnie.

Można pomyśleć, że – komu jak komu – ale jako katolicy Bogu oddamy kontrolę. Przecież wiemy, że On chce dla nas najlepiej. Wiemy, prawda?

Oczekiwanie na narodziny Boga jest frustrujące. Czekamy na przyjście na świat Tego, który włada czasem i materią, a który zdecydował się być zależnym od ludzi. Jaki Bóg tak robi? Kto by chciał tak bardzo oddać kontrolę? A może ten Bóg nie jest silny, tylko słaby? Jak czekać na słabego Boga?

Mogłabym napisać o komercjalizacji świąt, o tym, że od listopada słychać kolędy, że Mikołaj wychodzi mi z lodówki itd. Ale to oczywistości. I wymówki, żeby się nie spotkać, z tym, że nie wiemy, na jakiego Boga czekamy.

Bycie w relacji oznacza, że jesteś zależny. Czasem Ty czekasz na kogoś, a czasem ktoś na Ciebie. I w relacji z Bogiem też tak jest. Tylko że Bóg czeka na Ciebie zawsze. A Ty na Niego?

Pozdrawiam,
Ania

Z papieżem do łóżka

Mateusz Rezler

W dobie wszechobecnej pornografii i napastliwej seksualizacji życia codziennego papieska teologia ciała jawi się jako promyk nadziei i zwiastun nowego podejścia do cielesności. Kojarzony głównie z kremówkami i upadkiem komunizmu św. Jan Paweł II zaprasza nas do odkrycia wartości nas samych i naszych ciał.

Jak to Polacy, często narzekamy, że w naszych czasach jest tragicznie, nieświadomie ulegając mitowi „złotego wieku". A bo to przed wojną były obyczaje i szarmanckość, a to znowu za komuny była praca, nie mówiąc już o 1612 roku, kiedy to husaria na Kremlu biła Moskali. Zapominamy, że ludzie dawnych wieków mieli takie same problemy jak my, borykali się z podobnymi trudnościami i wadami swych współziomków. Jest jednak taka rzecz, której Mickiewicz i Piłsudski nie mieli i zapewne nawet o takim cudzie nie śnili. Internet – sieć pozwalająca na błyskawiczne przesyłanie informacji na drugi koniec globu. Filmy, obrazy i teksty mknące po podmorskich światłowodach, dostępne w każdym miejscu, o każdym czasie, praktycznie za darmo. Takiej rewolucji nie przewidzieli Luter, Robespierre ani Lenin. Witamy w trzecim tysiącleciu.

Każde narzędzie można wykorzystać w dobry albo zły sposób. Młotkiem mogę przybić do ściany gwóźdź albo rozłupać sąsiadowi czaszkę. Podobnie jest z Internetem – ograniczona jedynie ludzką wyobraźnią baza danych stała się głównym źródłem wiedzy dla uczniów i studentów, gdzie szukają odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Ta sama Sieć przyczynia się do rozpowszechniania propagandy Daesh i radykalizowania nabuzowanych nienawiścią do zachodniej cywilizacji muzułmańskich imigrantów. Z wrogą propagandą mieliśmy jednak do czynienia już w czasach antycznych. Ale pod nasze strzechy zawitało zło o wiele bardziej perfidne i trudne do okiełznania, niż komukolwiek się wydawało. Pornografia.

Tylko liczby

Nie było wcześniej takiej epoki, w której ludzie byliby dosłownie bombardowani seksem w najróżniejszych postaciach. Od półnagich modelek na bilbordach reklamujących bieliznę na skrzyżowaniach, przez obowiązkowe sceny erotyczne w filmach akcji, w artykułach,

w popularnej prasie wychwalającej przeróżne pozycje i gadżety łóżkowe. Ale to i tak mało – na kliknięcie myszką mamy dostęp do milionów kopulujących ludzi. Bez żadnej kontroli, bez żadnych limitów, teoretycznie całkowicie anonimowo. Dane są zatrważające. Portal Fight the New Drug opublikował statystyki największej strony z pornografią[1], którą w samym 2016 roku odwiedzono (uwaga...) 26 MILIARDÓW razy. Dziennie to 64 miliony, prawie tyle, ile wynosi populacja Wielkiej Brytanii. A to tylko jedna strona! Gdyby spróbowano podliczyć całokształt internetowego pornobiznesu, chwycilibyśmy się za głowę. Skala tego zjawiska jest bezprecedensowa – nigdy wcześniej ludzie obojga płci, wszystkich ras, języków, religii i narodów nie byli tak wystawieni na działanie nieczystego ducha.

Jak odnaleźć się w takim świecie? Jak żyć i zachować czystość w obliczu takiego zagrożenia? Promykiem nadziei może być dziedzictwo Papieża Polaka, który poświęcił lata na głoszenie nowego podejścia do ludzkiego ciała. I choć od środowych katechez minęły już dekady, nauczanie św. Jana Pawła II nigdy nie było tak aktualne jak dziś.

Życie ludzkie

W 1968 roku papież Paweł VI wydał encyklikę, która wzburzyła ówczesny świat. Rewolucja seksualna właśnie nabierała tempa, studenci paryskich uniwersytetów święcili tryumfy, a nadchodzący wyrok Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych na zawsze miał zmienić demograficzne oblicze Zachodu. W tym czasie, krótko po zakończeniu

[1] http://fightthenewdrug.org/by-the-numbers-see-how-many-people-are-watching-porn-today/

Soboru Watykańskiego II, Ojciec Święty przedstawia dokument, który stał się kością niezgody dla katolików Europy i Ameryki. Zamiast zezwalać na nieograniczoną konsumpcję seksu i sztuczną regulację urodzin, czego gorąco pragnęły media i liberalne „elity", przyszły błogosławiony stanowczo potępia antykoncepcję i podążając za ojcami soborowymi, ukazuje piękno małżeńskiego współżycia. Prawno-naturalistyczna koncepcja do wielu jednak nie trafiła, na papieża zaś spadła fala krytyki i – jak byśmy to powiedzieli dzisiaj – zwyczajnego hejtu. Musiała minąć dekada i dwa pontyfikaty, by pierwotny zamysł Pawła VI mógł zostać zrealizowany – na Stolicy Piotrowej zasiada Jan Paweł II, który od samego początku zabiera się do żmudnej i wręcz benedyktyńskiej pracy, by naprawić popełnione wcześniej błędy i przygotować świat na coś zupełnie nowego.

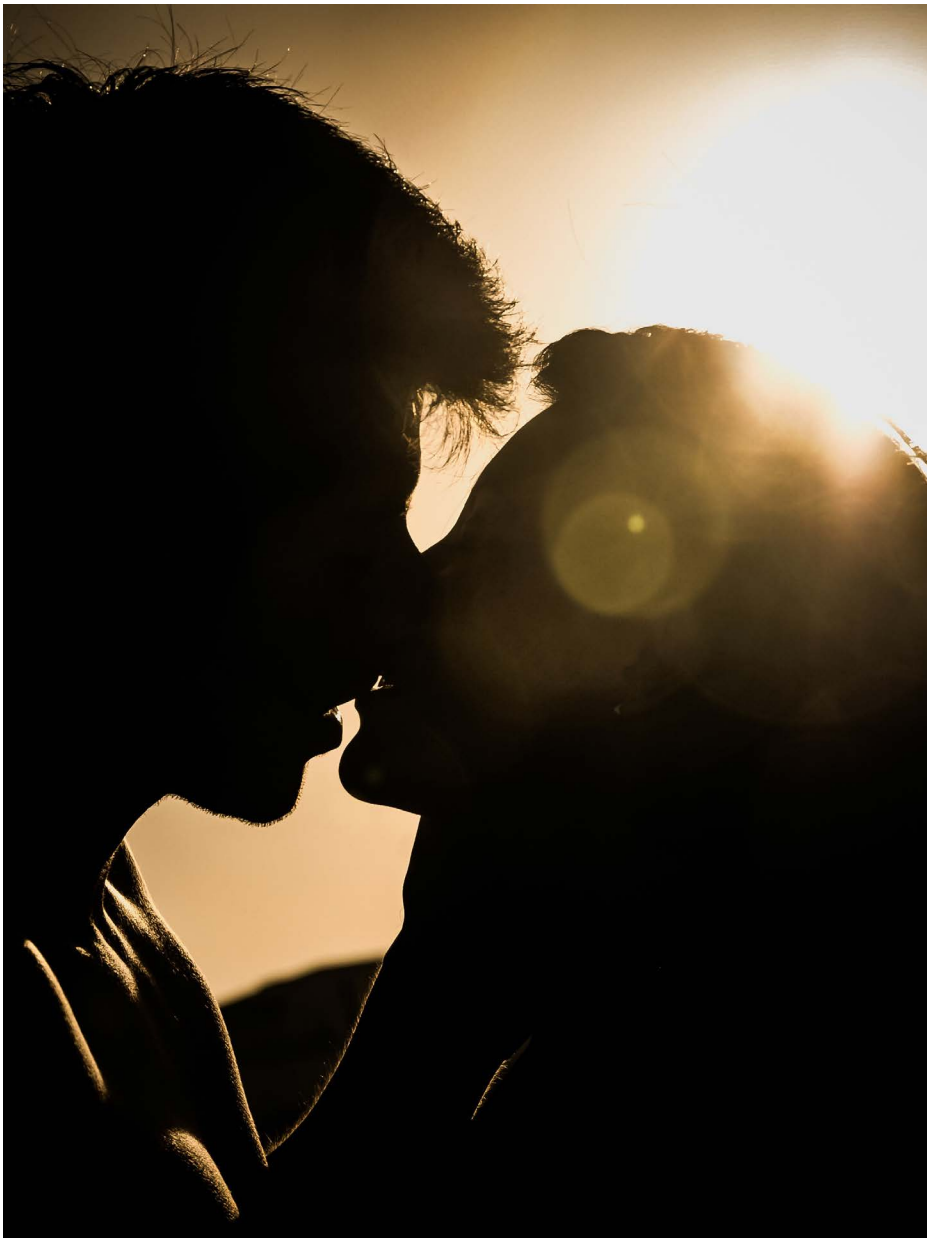

Katechezy środowe

Papież Polak nie tylko pochodził z dalekiego kraju, ale był także świadomy wizerunkowej porażki Humanae Vitae. Postanowił więc zmienić taktykę: w cyklu katechez wygłoszonych w czasie audiencji środowych w latach 1979–1984 konsekwentnie przybliżał światu nowe podejście oświecone blaskiem personalizmu. Z jednej strony nie była to żadna nowa nauka, następca św. Piotra odwołuje się co rusz do Pisma Świętego i *Magisterium*. Jednak forma i odkrywcze podejście do odwiecznych prawd stało się prawdziwą rewolucją. Wraz z dramatem *Przed sklepem jubilera*, *Miłością i odpowiedzialnością* oraz encykliką *Familiaris consortio*, katechezy środowe stworzyły spójny system, którego punktem centralnym, jak zresztą w całym personalizmie Wojtyły, jest osoba.

Jak było „na początku"

Święty z Wadowic skupia się na kilku fragmentach Biblii w swym nauczaniu. Jednymi z istotniejszych były perykopy z Księgi Rodzaju

o stworzeniu świata i o tym, jak Adam i Ewa przebywali razem w Edenie przed grzechem pierworodnym. Ukazano w nich bardzo wartościowe prawdy. Otóż wszystko, co Bóg dał człowiekowi, jest z natury dobre, bo sam Bóg jest Dobrem Najwyższym. Jan Paweł II stanowczo przeciwstawiał się dwóm skrajnościom: z jednej strony katarskiej herezji o istotowym złu wszelkiej materii, z drugiej marksistowskiemu materializmowi, który nie dopuszczał nic duchowego w otaczającym nas świecie. Zarówno ciało, jak i dusza ludzka, stanowią nierozerwalną całość i dopiero w takim połączeniu możemy mówić o człowieku jako o osobie. Tym różnimy się od aniołów, że Stwórca obdarował nas ciałem. Nie jesteśmy także zwierzętami pozbawionymi duchowej cząstki. Dopełnia to wszystko następujący fragment: „Chociaż mężczyzna i jego żona byli nadzy, nie odczuwali wobec siebie wstydu" (Rdz 2, 25). Jest to istotne, zwłaszcza w kontekście kolejnych wersetów, w których to po upadku pierwsi rodzice upletli sobie przepaski, gdyż „poznali, że są nadzy". Papież rozwija w katechezach oba te fakty, spostrzegając, że należy rozpatrywać je przez pryzmat istoty grzechu pierworodnego. Człowiek od tego momentu chciał sam decydować co jest dobre, a co złe; według własnego widzimisię dyktować co można czynić, a czego nie. W momencie błędnego ułożenia hierarchii wartości, gdzie cokolwiek innego niż Bóg staje na pierwszym miejscu, wszystko może stać się środkiem do osiągnięcia zamierzonego celu, nawet druga osoba. W strachu przed konsekwencją takich myśli i działań Adam i Ewa przepasali się – nie chcieli stać się przedmiotem pożądliwości, mięsem, skórą i kośćmi, które można wykorzystać dla własnej przyjemności. Ta świadomość była tak silna, że nawet ich małżeńska więź nie była w stanie przesłonić strachu i perspektywy zagubienia własnego ja w oczach ukochanej osoby. Przed grzechem pierworodnym nic takiego nie miało miejsca – to właśnie ten „początek", o którym wspomina Pan Jezus w rozmowie z faryzeuszami z dziewiętnastego rozdziału Ewangelii według św. Mateusza.

„Nie cudzołóż!"

Rozwinięcie poprzedniej myśli znajdziemy u Apostoła Synoptyka w rozdziale piątym. W Kazaniu na Górze Zbawiciel przybliża właściwą interpretację szóstego przykazania. Otóż cudzołoży nie tylko ten, który fizycznie współżyje z niewiastą, lecz każdy, kto „pożądliwie patrzy na kobietę". To pożądliwe spojrzenie jest dokładnie tą samą chęcią wykorzystania drugiego człowieka jako środka do celu – w tym przypadku przyjemności płynących ze zjednoczenia ciał. Pan Bóg nie dał jednak człowiekowi narządów rozrodczych dla rozkoszy, są one jedynie dodatkiem, nie istotą i szczytem. Tak samo jak nie zostaliśmy obdarzeni językiem, nosem i żołądkiem po to tylko, by odczuwać feerię smaków i aromatów, ale by móc się bezpiecznie pożywiać, tak samo mężczyzna i kobieta nie zostali stworzeni z odmiennymi ciałami po to, by bezmyślnie uciekać w płciowe doznania. Sakramentalne małżeństwa (bo tylko w nich współżycie jest uczciwe i godne) „z natury swej skierowane są ku płodzeniu i wychowywaniu potomstwa" – tak mówi nam Konstytucja duszpasterska o Kościele w świecie współczesnym Gaudium et spes. Stąd też, jak zauważa Paweł VI w swojej encyklice: „Jeżeli więc ktoś korzysta

z daru Bożego, pozbawiając go, choćby tylko częściowo, właściwego znaczenia i celowości, działa wbrew naturze tak mężczyzny jak i kobiety, a także wbrew głębokiemu ich zespoleniu. I właśnie dlatego sprzeciwia się też planowi Boga i Jego świętej woli". W takim kontekście każdy akt małżeński musi być otwarty na życie i poczęcie z Bożą łaską nowej istoty.

Zjednoczenie

To jednak nie wyczerpuje znamion godziwości współżycia małżonków wskazanych w *Humanae Vitae*. Jan Paweł II pochyla się dogłębnie nad fragmentem z Księgi Rodzaju: „Mężczyzna opuszcza ojca swego i matkę swoją i łączy się ze swą żoną tak ściśle, że stają się jednym ciałem". Owo zjednoczenie nie jest tylko fizycznym kontaktem i spotkaniem dwóch narządów w bezmyślnej kopulacji, a komunią osób, gdzie każdy z małżonków składa „bezinteresowny dar z siebie samego" (Gaudium et spes, 24). Dopiero w takim kontekście człowiek może w pełni zrealizować boski zamysł, by w miłosnym zjednoczeniu móc dać siebie drugiemu, bez żadnych wymagań, oczekiwań czy pożądliwości. Na wzór starotestamentalnej ofiary całopalnej, w której to zwierzę zostawało spalone i unosząc się w dymie ku niebu, całe oddane Bogu jako dar, tak i małżonkowie powinni złożyć całą swą osobę w podarku, by nawzajem przyjąć się i urzeczywistnić stan, który był „na początku".

Kluczowy w tym momencie rozważań zdaje się powrót do istoty ludzkiej natury. Jak mówi Katechizm Kościoła Katolickiego w punkcie 362: „Osoba ludzka, stworzona na obraz Boży, jest równocześnie istotą cielesną i duchową". Słowo „równocześnie" wybrzmiewa tu szczególnie – nie chodzi tylko o to, by były to puste słowa, ale by każdy nasz gest

i czyn był nie tylko aktem w świecie materialnym, ale by jednocześnie przenikała go duchowa treść. Przygodny seks w toalecie na stacji benzynowej może stanowić dar ciała, ale ciężko w takim przypadku traktować taki czyn jako ofiarowanie ducha. W naszym codziennym życiu powinniśmy odkrywać piękno dwoistości ludzkiej natury, w której to dwa nierozerwalne aspekty łączą się w jedną, niepowtarzalną osobę, stworzoną na podobieństwo samego Boga. Zaś w akt małżeński muszą być zaangażowane obydwie sfery – dopiero wtedy będziemy mogli mówić o miłosnym darze z siebie – gdyż ja, jako osoba, to nie tylko materia, ale jednocześnie ciało i duch.

Nie będzie to jednak możliwe, gdy ukochany/ukochana będzie stanowić nie podmiot, a przedmiot w naszych oczach. Tę myśl wyraził Karol Wojtyła w swoim dramacie „Przed sklepem jubilera", w którym to Anna rozmyśla: „Nie chciałam się czuć jak przedmiot, którego nie można utracić, gdy się raz już posiadło na własność". W akcie zjednoczenia małżonkowie stają się nawzajem swoją własnością, której nie można jednak rozpatrywać w kategoriach używania rzeczy, a właśnie daru z siebie, który jest osią całego personalizmu Świętego Polaka.

Wyzwanie i zadanie

Wyróżnić możemy więc dwie płaszczyzny, dwa elementy składające się na małżeńskie współżycie: duchowy aspekt zjednoczenia i cielesny otwarcia na życie. Paweł VI jasno wskazuje: „Jeżeli zatem zostaną zachowane te dwa istotne elementy stosunku małżeńskiego, a więc oznaczanie jedności i rodzicielstwa, to wtedy zatrzymuje on w pełni swoje znaczenie wzajemnej i prawdziwej miłości".

Cały powyższy wywód może się w tym kontekście okazać zbyt wymagający dla współczesnego człowieka. Czy aby na pewno? Śmiem postawić tezę, że każdy, kto rzeczywiście pochyli się nad tą nauką, dostrzeże w niej prawdę i drogę do szczęścia. Ważnym wkładem Jana Pawła II jest uczynienie chrześcijańskiej myśli uniwersalną. Autor *Humanae Vitae* przyjął perspektywę prawno-naturalistyczną, która we współczesnym świecie relatywizmu może zwyczajnie nie trafić do zlaicyzowanych zakochanych, narzeczonych i małżonków. Być może to był powód, dla którego encyklika przez tak wielu została odrzucona. Jednak nawet ateiści wojujący z Kościołem ogniem i mieczem mogą dostrzec, że traktowanie drugiej osoby jako przedmiotu do zaspokajania własnych żądz jest po prostu nie fair. Podejście średniowiecznych katarów i ich odrzucanie materii raczej nam dziś nie grozi. Za to marksistowski materializm bryluje na salonach i pod strzechami milionów Europejczyków i Amerykanów. Tak długo, jak naszego sąsiada, koleżankę z pracy czy domowników będziemy traktować jak worki mięsa, „bezinteresowny dar z siebie samego" będzie niemożliwy. A na tym właśnie polega miłość: na decyzji o nieustannych składaniu siebie w ofierze drugiej osobie. Tego właśnie pragnął nasz Święty Papież – byśmy przestali stawiać mu pomniki, a w końcu zaczęli go słuchać. Przestańmy więc traktować się jak przedmioty i dostrzeżmy w końcu w drugim podmiot – osobę, którą możemy obdarować najcenniejszym prezentem, jaki posiadamy. Nami samymi.

Czy dobry katolik może być terapeutą?

Anna M. Gawlik

Pewien ksiądz zapytał mnie kiedyś, czy dobry katolik może być terapeutą. Odpowiedź może być tylko jedna: tak, może. No ale, nie oszukujmy się, tak mi redaktor naczelny artykułu nie puści. Spróbuję więc przyjrzeć się tematowi szerzej.

Dobry katolik to – w moim rozumieniu – ktoś, kto oprócz deklarowania wiary, przekuwa ją na czyny. Nie tylko, choć przede wszystkim, uczestniczy w sakramentalnym życiu Kościoła, ale też żyje Ewangelią na co dzień. W związku z tym każdy może być dobrym katolikiem. Nie będę tu wchodzić w rozważania teologiczne, bo nie są one potrzebne. Taka definicja na potrzeby tego tekstu będzie wystarczająca.

O tym, kim jest i jaki powinien być terapeuta, już nie tak prosto napisać.

Terapeuta to ktoś, kto towarzyszy pacjentowi w procesie zdrowienia. W różnych nurtach to towarzyszenie inaczej wygląda. Czasem jest bardziej ingerujące, czasem bardziej wycofane. Osobiście bardzo podoba mi się określenie terapeuty jako

lustra, w którym przegląda się pacjent. Aby takim lustrem być, sam musi być niewidoczny. Nie może na lustrze tworzyć rys czy przesłaniać obrazu sobą. Dlatego też terapeuci muszą swą pracę poddawać superwizji, czyli ocenie kogoś mądrzejszego i bardziej doświadczonego.

Terapeuta powinien znać swoje granice, wiedzieć, kiedy zrezygnować z prowadzenia terapii. Musi znać siebie, rozpoznawać swoje stany emocjonalne, wiedzieć, kiedy sam potrzebuje wsparcia i pomocy.

Kolejną nieodzowną cechą jest umiejętność współodczuwania, aby mógł razem z pacjentem przeżywać emocje. Jednak tu pojawia się kwestia granic. Jeśli terapeuta nie zna swoich granic, może w tym współodczuwaniu zlać się z pacjentem i przestać mu pomagać. Utrata dystansu nie wróży dobrze terapii.

Musi być otwarty na pacjenta, na jego przeżycia i doświadczenia. Na jego spojrzenie na świat, ale też na swoje przeżycia związane z tym, co się na terapii dzieje.

Powinien być cierpliwy, wrażliwy, ale nie zanadto, dostępny emocjonalnie, opanowany, stanowczy, przenikliwy, komunikatywny, dobrze wykształcony i wciąż pogłębiający swoją wiedzę.

Wydaje mi się, że powinien być też pokorny i kochający. Pokorny, żeby mógł uznać przede wszystkim swoją wiedzę i umiejętności oraz niewiedzę i nieumiejętności, a kochający, żeby mógł przyjąć pacjenta z dobrodziejstwem jego inwentarza oraz postawić jasne granice w terapii.

Oczywiście katalog cech terapeuty mógłby się nie kończyć. Sądzę, że każdy pacjent ma własne oczekiwania w tym temacie. Tu jednak się zatrzymam w tym opisie.

Na pierwszy rzut oka (i drugi też) widać, że wszystkie wymienione przeze mnie cechy terapeuty powinny być pożądane przez wszystkich. Również przez katolików. Niektóre z nich są nawet nazywane darami Ducha Świętego. Jeśli wrócimy więc do pytania z tytułu, to odpowiedź wciąż pozostaje ta sama. Tak, dobry katolik może być terapeutą. Co więcej, dobry katolik może być dobrym terapeutą.

Ale… Według mnie z tym tematem wiąże się inna, być może ważniejsza kwestia. Czy katolik powinien chodzić wyłącznie do terapeuty katolickiego? Czy tylko katolicki terapeuta zapewni mu odpowiednią pomoc?

W mojej opinii, choć nie tylko mojej, system wartości czy wierzeń terapeuty nie ma znaczenia. Postaram się pokrótce wyjaśnić, dlaczego.

Jeśli spojrzymy na terapeutę jak na lustro, w którym odbija się pacjent, to system wartości czy wiara terapeuty może być właśnie ową rysą na lustrze, która zniekształca obraz.

Wyobraźmy sobie sytuację, że do terapeuty-katolika przychodzi homoseksualny pacjent. Aktywny seksualnie. Z objawami depresji. Jego orientacja nie jest dla niego problemem. Dla katolika jasne jest, że ów człowiek musi zrezygnować z aktywności seksualnej, wyspowiadać się i żyć w czystości. A dla terapeuty? Jeśli ów człowiek pogodzony jest ze swoją orientacją, to zajmuje się przyczynami objawów depresyjnych. I tylko tym. Nie kieruje ocen moralnych, nie nawraca pacjenta. Leczy to, z czym ten się zgłosił. Jeśli nie odwiesi na kołek swojej wiary na czas sesji, może dojść do sytuacji, w której będzie widział tylko grzech pacjenta, a nie jego problemy.

Niestety, i piszę to z dużym smutkiem, duża część terapeutów chrześcijańskich zapomina o tym, że obowiązuje ich kodeks etyczny psychoterapeuty i zaczynają nawracać i ewangelizować. A to jest niedopuszczalne.

We wspomnianym kodeksie psychoterapeuty możemy między innymi przeczytać: „Terapeuta nie ma prawa wydawać ocen moralnych ani kierować się zasadami ideologii politycznej. Psychoterapeuta ma obowiązek powstrzymać się od działań wynikających z wszelkich uprzedzeń rasowych, religijnych, narodowościowych oraz z jego stosunku do płci, wieku i orientacji seksualnych pacjenta, zarówno w toku terapii, jak i w swoim życiu zawodowym. Terapeuta nie może jednak legitymizować zachowań będących przestępstwem w rozumieniu kodeksu karnego czy kodeksu rodzinnego (np. przemocy fizycznej bądź seksualnej w rodzinie)".

Ktoś może wysunąć zarzut, że ów kodeks nie jest aktem prawnym sensu stricto. I to prawda. Jednak każdy psychoterapeuta zobowiązuje się go przestrzegać.

Terapeuta decydując się na ten zawód, decyduje się też na, niejako, zawieszanie na czas sesji swoich prywatnych poglądów czy wartości. Mówi się, że terapeuta pracuje sobą, swoimi emocjami, myślami, doświadczeniami, fantazjami, ale nie może stawiać siebie przed pacjentem. Nie może go zasłaniać.

Kolejnym argumentem przeciw konieczności leczenia się katolika u katolickiego terapeuty jest to, jaki ów terapeuta powinien być. Powyższa lista cech wyklucza sytuację, w której o wyborze terapeuty decyduje jego religia. To by oznaczało, że buddyści mogą chodzić tylko do buddystów, ateiści do ateistów itd. Terapeuta ma być otwarty na

pacjenta. Na całego pacjenta, a nie tylko na jego wybraną część – tę, z którą jest mu wygodnie i po drodze.

Często słyszę argument, że terapeuta-nie-katolik powie, że seks przedmałżeński jest w porządku, albo uzna wiarę w Boga za wyraz czy element zaburzeń. Jeśli terapeuta, jakikolwiek, próbuje wpływać na system wartości lub przekonania swojego pacjenta, to po prostu musi się douczyć. Gdzieś w procesie szkolenia czegoś nie dopatrzono. I dotyczy to również katolików. Bo pacjenci nie przychodzą po to, żeby im przemeblować system wierzeń. Przychodzą, bo cierpią psychicznie. I pragną uzyskać pomoc w sferze psychicznej.

Innym argumentem za leczeniem się przez katolików u wierzących terapeutów jest to, że taki terapeuta będzie mógł doradzić czy lepiej zrozumieć dylematy związane z wiarą. Problem w tym, że to nie jest jego zadanie. Jeśli boli mnie brzuch i podejrzewam, że mam zapalenie wyrostka robaczkowego, to nie idę do księdza czy psychologa. Jeśli mam kłopot z wiarą, to nie idę do chirurga czy terapeuty. Jeśli mam problem z psychiką, to idę do specjalisty w tej dziedzinie. I nie ma znaczenia czy ma on podobny pogląd na świat, bo terapeuta ma mieć przede wszystkim wiedzę na temat działania ludzkiej psychiki.

Mam różnych pacjentów. Niektórzy są wierzący, niektórzy nie. Czy mam tych niewierzących wyrzucić, bo nie podzielają mojego spojrzenia na świat? Gdyby moja wiara wpływała na moje umiejętności pomocy, byłabym po prostu kiepskim terapeutą.

Kwestie psychiki i jej leczenia są niezwykle delikatne. Trzeba, aby zajmowali się nimi ludzie, którzy sami są na tyle poukładani, żeby umieli oddzielić siebie od swoich pacjentów.

Zainteresował Cię mój artykuł?
Masz jakieś pytania?
Napisz do mnie na:
anna.gawlik@adeste.eu

Flagi czerwone od krwi chrześcijańskiej

Jakub K. Lesner

Na żadnej fladze nie ma symbolu, który mógłby oznaczać represje wobec wyznawców Chrystusa. Chrześcijanie cierpieli prześladowania na całej kuli ziemskiej. Praktycznie na każdej szerokości geograficznej znaleźli się ludzie gotowi oddać życie w imię Trójosobowego Boga, a razem z nimi ludzie, którzy „umożliwiali" ich męczeństwo.

Cesarstwo Japonii

Chrześcijaństwo zaczęło stąpać po Wyspach Japońskich wraz z przybyciem na ten archipelag św. Franciszka Ksawerego i jego towarzysza, który zaprosił go tam gdy przebywał w Indiach. Przez 45 lat Towarzystwo Jezusowe jako jedyne prowadziło misje w tym osobliwym miejscu, aż do momentu wybuchu powstania na półwyspie Shimabara, który był własnością chrześcijańskiego rodu. Chłopi i Roninowie, czyli bezpańscy Samurajowie, zostali pokonani przez Szogunat Tokugawa, zaś w wyniku samego zrywu ludności Szogun zakazał wiary chrześcijańskiej na ziemiach japońskich i zerwał kontakty handlowe z Europą, z wyjątkiem Holandii, która mogła cumować swe okręty tylko w jednym porcie, zaś zejście ze statku było równoznaczne z podeptaniem świętego wizerunku, które stosowano także na wyspie. Nie oznaczało to całkowitego wyparowania katolików z wysp. Japończycy spotykali się na Mszy Otaiya, podczas której konsekrowano ryż, rybę i sake, czyli alkohol pozyskiwany z ryżu. Represje skończyły się wraz z Traktatem z Kanagawy, który otworzył Japonię na inne kraje, co spowodowało nawiązanie kontaktu Kakure Krishtian ze Stolicą Apostolską i uzyskanie praw przez chrześcijan. Paru przedstawicieli Kakure Kirishtian niestety przejęło elementy buddyzmu i Shintō i nie chcąc unii z Rzymem założyli zbór Hanare Kirishtian. Obecnie istnieje Autonomiczny od Cerkwi Rosyjskiej Japoński Kościół Prawosławny, a także wiele innych wspólnot chrześcijańskich, w tym też najliczniejszy wśród tamtejszych Kościół Katolicki. W latach 70' XX wieku w Akita doszło do uznanych przez Kościół objawień maryjnych, zaś żniwo ziarna zasianego przez św. Maksymiliana Marię Kolbego jest zbierane po dziś dzień.

Imperium Osmańskie i Republika Turecka

Długo można by było rozprawiać o prześladowaniach, jakie naród turecki stosował wobec naszych braci w wierze, jednakże warto się skupić na tym, kiedy to wszystko sięgnęło zenitu. Już w 1885 roku świat usłyszał krzyk Armenii wołającej o pomoc z powodu udręczenia ze strony ottomańskiej. 24 kwietnia 1915 wydano nakaz aresztowania inteligencji ormiańskiej.

Po aresztowaniu i deportacji ponad 2300 Ormian zaczęły się kolejne pogromy. Duchowieństwo Kościoła Ormiańskiego nie mogło liczyć wśród ludzi na litość. Przybijano im podkowy do stóp, co uniemożliwiało ucieczkę i powodowało długą śmierć w katuszach. W międzyczasie przedstawiciele nacjonalistycznego Ruchu Młodotureckiego, razem z sułtanem AbdulhamidemII, namawiali Kurdów do przyłączenia się do eksterminacji. Obiektem ludobójstwa byli nie tylko Ormianie, ale także Grecy Pontyjscy i Asyryjczycy. Do końca 1915 r. około 500 000 ludzi pozbawiono życia poprzez wywiezienie na Pustynię Syryjską, nie mówiąc o pogrzebach i paleniu żywcem. Dalej sytuacja się podtrzymywała, aż do upadku Imperium Osmańskiego, ale tu się historia nie kończy. W połowie września 1922 Turcy po zdobyciu Smyrny (obecnie Izmir) doprowadzili do spalenia dzielnic chrześcijańskich, czyli greckiej, ormiańskiej i francuskiej, zaś pozwolili pozostać dzielnicom żydowskim i tureckim. Państwo Tureckie po dziś dzień nie chce przyznać się do okrucieństw dokonanych podczas I wojny światowej, co jest jedną z przeszkód na drodze tej republiki do wstąpienia do Unii Europejskiej.

Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich

W tym roku przypada stulecie Rewolucji Październikowej. W wyniku tego wydarzenia doszło do zamordowania prawosławnej rodziny carskiej i wprowadzenia nowego porządku. Przede wszystkim homo sovieticus nie wierzy w Boga, ale w idee komunizmu, wszakże Karl Marx pisał, że każda religia to „opium dla ludu". Religia przeszkadza socjalizmowi, który, jak pisał autor „Manifestu Komunistycznego", zawsze prowadzi

do komunizmu między innymi tym, że sama zakłada utopię. Niektórzy prawosławni mają ambicję międzynarodowego mocarstwa wszechprawosławnego, muzułmanie są zwolennikami prawa koranicznego, zaś animistów dalekowschodnich nie obchodzi zbytnio polityka, tylko życie doczesne w harmonii z naturą. Po drugie religia głosi to, że ona jest jedynym źródłem wolności, co jest sprzeczne z ideą, że socjalizm ma monopol na dystrybucję wolności. Po trzecie trudno pogodzić pierwsze przykazanie z obecnym za rządów sowieckich kultem jednostek, takich jak Lenin, Stalin czy Engels. Przy okazji warto wspomnieć, że młody Stalin po opuszczeniu seminarium duchownego, pisząc artykuły do gazety partii bolszewickiej, podpisywał się „Demonoszwili". Usuwano więc krzyże, zsyłano kler na Sybir, burzono cerkwie i meczety oraz buntowano ludzi przeciwko religii do tego stopnia, że przez propagandę słowo pop, które oznaczało prawosławnego duchownego stało się określeniem pejoratywnym. Po podpisaniu Układu Warszawskiego represje poszerzyły swój zasięg. Albania, jako pierwszy ateistyczny kraj w historii, w ramach usuwania krzyży robiła z nich wieszaki i inne akcesoria codziennego użytku, by symbole religijne spowszedniały. Cały zamęt skończył się wraz z upadkiem ZSRR, czyli w dniach 8-28 grudnia 1991 r. Wtenczas było Boże Narodzenie. Los zgotował taki prezent gwiazdkowy dla świata, że dnia 25 grudnia flaga Związku Radzieckiego została zdjęta z masztu, zaś Gorbaczow podał się do dymisji.

III Rzesza

Bardzo często można spotkać się z oskarżeniami, że naziści byli chrześcijanami, wszakże używali hasła „Gott mit uns". Sęk w tym, że trwałość haseł na sztandarach wychodzi w praniu. Św. Maksymilian Maria Kolbe podczas pobytu w Auschwitz miał na pasiaku

czerwony trójkąt, którym byli oznakowani więźniowie polityczni. Święty Maksymilian został aresztowany dwukrotnie tylko z powodu przynależności do zakonu, a bł. Alicja Kotowska została zastrzelona w Piaśnicy, podobnie jak kilku innych konsekrowanych, ze względu na stan duchowny. To tylko kilka przykładów okrucieństwa Niemców wobec duchowieństwa. Zdarzali się księża współpracujący z naszym ówczesnym okupantem, jak np. biskup Josyf Slipyj czy Jozef Tiso, ale to były zagrania polityczne, rozgrywane z posady polityka lub pozycji człowieka z poglądami. Biskup Slipyj odprawił nabożeństwo tylko jako zagranie polityczne, zaś ks. Tiso podejmował decyzje jako prezydent, chociaż nawet bezpośredni przełożeni w wojsku nie mają kontroli nad gwałtami i ofiarami żołnierzy. Stolica Apostolska również nie milczała. W 1937 r. papież Pius XI wydał encyklikę „Mit brennender Sorge", w której potępił nazizm, a ten fakt spowodował masowe interwencje policji w kościołach na terenie całych Niemiec, gdy księża czytali ją wiernym. Także holocaust nie był papieżowi obojętny, wskutek czego ówczesny Naczelny Rabin Rzymu przyjął chrzest, a Ambasada Izraela w Watykanie w specjalnym dokumencie zdementowała plotki, jakoby papież milczał w sprawie pogromu więźniów politycznych, Żydów, Romów, Sinti, Polaków, homoseksualistów i innych. Sprawa hitlerowska nie była obca także protestantom, którzy się wówczas podzielili. Pierwszym obozem był zbór założony przez pastora luterańskiego, który popierał NSDAP, o nazwie Chrześcijanie Niemieccy. Drudzy z kolei byli protestanci, którzy stanęli w opozycji do wmurowywania swastyki do krzyża (symbol Deutsche Christen) i zjednoczyli się pod nazwą Kościół Wyznający. Nie należy też zapominać, że elity Narodowych Socjalistów należały do okultystycznego towarzystwa Thule, a one chciały wprowadzić własną, nazistowską religię, po której pozostał wałbrzyski Totenburg, pełniący rolę mauzoleum powstańców śląskich, jak i podprogowo świątyni Adolfa Hitlera. Jednym z kroków, do założenia aryjskiej religii miało być uprowadzenie papieża, co jednak nie powiodło się. Także w okupowanym Wolnym Mieście Gdańsk nie było kolorowo. Im bliżej wojny, tym robiono w Gdańsku coraz prędzej niemieckie porządki. Zakazano księżom spowiadać w języku polskim, więc formułki wypowiadano po niemiecku lub łacinie, grzechy wymieniano po polsku, a nauki i rozgrzeszenie znów po niemiecku, lub łacinie. Na początku były oznakowane konfesjonały, a potem rozpoznawano na inne sposoby polskojęzycznego spowiednika. Po rządach Rzeszy nastał okres Żelaznej Kurtyny, która upadła po czterdziestu pięciu latach od kapitulacji Wehrmachtu. Zbrodniarzy wojennych w sporej mierze rozliczono i skazano, a w więzieniu stał się cud. Kapelan więzienny z Norymbergi nawrócił i ochrzcił Hansa Franka, człowieka, który wprowadził aborcję i czuwał nad eksterminacją w Polsce. To wydarzenie można śmiało nazwać Chrztem Rzeszy, a jednocześnie upadkiem jej nazistowskiego charakteru.

Koreańska Republika Ludowo - Demokratyczna

Tak jak poprzednio można było dosadnie powiedzieć o komunizmie i oburzać się na Sułtana, tak teraz trzeba podejść do sprawy bardzo delikatnie, ponieważ obecna sytuacja międzynarodowa uległa zaostrzeniu i w przeciwieństwie do poprzednich krajów problemy się póki co

nie skończyły. W tym kraju według konstytucji można wyznawać dowolną religię, jak na przykład Czeondoizm, który jest powstałą w wraz z początkiem XX wieku religią uniwersalną Korei. Ten paragraf ma jednak ustęp, który mówi, że wolność wyznania kończy się na religii, dzięki której dostają się do państwa agentury. W imię tego przepisu prawnego zakazuje się chrześcijaństwa, bo ono ma dekrety biskupie, które są nawet z południowych diecezji, a także nominacje papieskie i misjonarzy, które są zdaniem władz obcą agenturą, dlatego nielegalnym jest posiadanie Biblii. Wyznawanie wiary czy inne formy religijności są surowo karane. Od kilkunastu lat Korea Północna zajmuje pierwsze miejsce w Światowym Indeksie Prześladowań sporządzanym przez Fundację „Open Doors" i jest jedynym krajem w pierwszej dziesiątce tego zestawienia, który nie jest państwem muzułmańskim. Opat terytorialny w Tokwon jest wybierany tytularnie, zaś z powodu ciągłego wakatu w kraju władzę, także tytularną, sprawuje tam administrator apostolski, który jest arcybiskupem seulskim. Dżuczystowskie władze jednak nie pozostały obojętne na powyższe problemy. W Pjongjangu stoi katolicka katedra Changchung, cerkiew Trójcy Świętej, 3 zbory protestanckie i meczet Ar-Rahman. Są to budowle propagandowe, w których nabożeństwa też są propagandowe. Ambasadorzy i pracownicy dyplomacji jednak mają zupełną wolność wyznania i rząd zapewnia im kapelanów lub przedstawicieli innych form życia religijnego (np. w Islamie nie ma duchownych). Należy się teraz tylko modlić za wstawiennictwem św. Pawła Chong-Hasang, Andrzeja Kim-Taegon i towarzyszy męczenników koreańskich, aby Pjongjang był na powrót nazywany Jerozolimą Korei.

Epilog

Prześladowania chrześcijan bardzo często, a nawet prawie zawsze biorą się ze strachu o bezpieczeństwo kraju, a raczej idee rządzących nim. Adolf Hitler, Mao Zedong, Che Guevara Włodzimierz Lenin, Kim Il Sung i wielu innych głosiło, że to ich idee niosą wyzwolenie, co kłóci się z chrześcijańską myślą „Chrystus jest Prawdą, zaś tylko Prawda nas wyzwoli". My zaś módlmy się gorliwie o rychłe zakończenie ucisku naszych Braci w Chrystusie Jezusie, który niestety nadal trwa.

Cisza jest pełna Słowa

Tymoteusz Pyda

„Na początku było Słowo…”. Te słowa z prologu Ewangelii św. Jana na pierwszy rzut oka nie ułatwiają poszukiwania ciszy. Ciszy, która wypełnia przestrzeń. Ciszy, która leczy. Ciszy, która jest pełna Słowa. Dlaczego więc tak trudno jest w nią wejść?

„Słuchaj Izraelu!”

Od najdawniejszych czasów człowiek próbował się porozumieć z bóstwem, składał wielorakie ofiary, w zamian oczekiwał odpowiedzi. Wielu kapłanów na różne sposoby interpretowało np. lot ptaków, wnętrzności byka czy sposób ułożenia się rzuconych kości, aby dowiedzieć się, jakie ustanowienia powzięła istota wyższa. W przypadku Ludu Wybranego sytuacja jest diametralnie inna. To Jedyny Bóg mówi do swoich: „Słuchaj Izraelu!”. Tak jak pierwszy przemawiał do Adama, Abrahama czy Mojżesza, tak też pragnie On nieustannie mówić do człowieka czasów dzisiejszych. Jest to najczęściej mocno utrudnione przez wszechobecny hałas. Ktoś, kto nie potrafi radzić sobie z wewnętrzną pustką, chce ją czymś zapełnić, dlatego wszędzie można spotkać włączone telewizory,

radia, głośne rozmowy. Mówi się, że Nowy Jork nigdy nie zasypia. Chyba podobnie jest z niektórymi osobami pod względem ich medialnej konsumpcji.

„Językiem, którego Bóg słucha najchętniej, jest milcząca miłość" Św. Jan od Krzyża

Trudno jest usłyszeć Boga, który jest podobny do „szmeru łagodnego powiewu"[1], jeśli cały czas przebywa się pośród niekończących się dźwięków. Ks. Robert kardynał Sarah mocno zwraca na to uwagę: „Bóg jest ciszą, a diabeł hałaśliwy. Od samego początku, szatan stara się maskować swoje kłamstwa pod zwodniczą, rezonującą agitacją. Chrześcijanin ma obowiązek wobec siebie, żeby nie być z tego świata. To do niego należy, aby odwrócić się od zgiełku tego świata, od jego plotek, które prowadzą donikąd, bo lepszym jest zwrócenie się ku temu, co jest zasadnicze: Bóg. Nasz pracowity, technologiczny wiek uczynił nas jeszcze bardziej chorymi. Hałas stał się jak narkotyk, od którego współcześni ludzie są uzależnieni. Ze swoim odświętnym wyglądem, hałas jest jak wir, który odwodzi od spojrzenia sobie w twarz i konfrontacji z wewnętrzną pustką. Jest to diaboliczne kłamstwo. Przebudzenie może być tylko brutalne"[2].

„Cisza! Pan jest blisko"

Hałas jest czymś degradującym człowieka, nie pozwala mu na wypoczynek, niszczy zarówno fizycznie, jak i psychicznie. Duchowo jest tym, co oddala człowieka od Boga, bo to, co kolorowe, głośne i nęcące zwykle wygrywa z wymaganiami jednostajnej modlitwy. Czy można jakoś temu zaradzić? Kilka prostych rad daje św. Teresa z Avila, wielka mistyczka i mistrzyni modlitwy: „Nim jednak zacznę mówić o tym, co należy do życia wewnętrznego, to jest o modlitwie, chcę pierwej dotknąć pewnych rzeczy, których koniecznie przestrzegać powinni wszyscy pragnący oddawać się modlitwie. [...] Nie przestrzegając ich, niepodobna, by (dusza) daleko zaszła na drodze kontemplacji. Gdyby zaś mimo to uważała siebie za kontemplacyjną, oszukiwałaby wielce sama siebie. [...] Pierwszą z tych rzeczy jest miłość obopólna między nami; drugą, zupełne oderwanie się od wszystkich rzeczy stworzonych; trzecią,

[1] Zob. 1 Krl 19, 9-15

[2] R. Sarah, *Siła ciszy*, http://sanctus.pl/index.php?grupa=66&podgrupa=607&doc=552, 09.11.2017 r.

prawdziwa pokora”[3]. Tak przygotowawszy duszę do modlitwy kontemplacyjnej można rozsmakować się w dialogu z Bogiem, dialogu, który odbywa się w całkowitej ciszy.

„Oto za chwilę przystąpię do ołtarza Bożego…”

Jak nieomylnie uczy Sobór Watykański II: „Eucharystia jest »źródłem i zarazem szczytem całego życia chrześcijańskiego«”[4]. Dlatego też niesłychanie istotną częścią liturgii są chwile milczenia, „silentium sacrum”. Często można zauważyć strach i obawę przed ciszą w kościele. Chwile, gdzie mszał wskazuje na moment zastanowienia się nad przeżywanym właśnie wielkim misterium naszej wiary, stają się coraz krótsze. Czynnik nieustannej akcji i atrakcji niestety nierzadko góruje. Budzi się w celebransie i/lub wiernych lęk przed Nieznanym, przed Tajemniczym, przed Nieobecnym, który trzeba pokonać wypowiadając słowa rytuału. Zapomina się wtedy o tym, co trafnie określił św. Jan Paweł II: „Wszystkie modlitwy oparte są na fundamencie ciszy”.[5]

„Gdy chcesz się modlić, wejdź do swej izdebki…”[6]

„Abba Makary Wielki; kiedy w Sketis odprawiał braci po zgromadzeniu, mawiał: »Bracia, uciekajcie«.

[3] Teresa z Avila, *Droga Doskonałości*, 4, 3-4.

[4] Sobór Watykański II, *Lumen Pentium*, 11.

[5] Cyt. za: *Cisza przy ołtarzu*, http://ps-po.pl/2011/02/10/cisza-przy-oltarzu/, 09.11. 2017 r.

[6] Zob. Mt 6, 6

Jeden ze starców go zapytał: »Dokąd jeszcze mielibyśmy uciekać z tej pustyni?« A on położył palec na usta, mówiąc: »Od tego uciekajcie«. I poszedł do swojej celi, zamknął drzwi i tak pozostał"[7]. W dzisiejszych czasach nie można sobie pozwolić na życie takie, jakie wiedli Ojcowie Pustyni, a z całą pewnością nie może tego zrobić każdy, kto chciałby żyć ciszą i modlić się kontemplacyjnie. Dlatego warto odkrywać takie bogactwa świętej Matki Kościoła, która daje nam ogrom pomocnych darów: Msze święte w nadzwyczajnej formie [potocznie nazywane Mszą trydencką], adorację Najświętszego Sakramentu, Modlitwę Jezusową, medytację chrześcijańską, Liturgię Godzin, śpiew chorałowy, rekolekcje ignacjańskie.

„Panie Jezu Chryste..."

Poniżej krótka instrukcja jak rozpocząć praktykę Modlitwy Jezusowej:

1. Najważniejsze to stanąć przed Bogiem, czyli uświadomić sobie, że jesteśmy w Jego obecności (zawsze dobrze jest to zrobić, ale

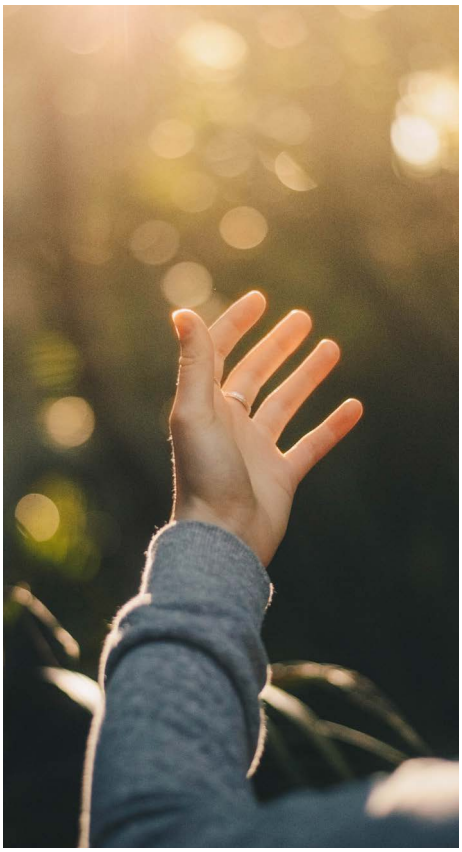

szczególnie podczas tej modlitwy).

2. Następnie warto poprosić Ducha Świętego, aby nam pomagał w modlitwie wtedy, kiedy my tego nie potrafimy.

3. Potem wybrać jedną z formuł (niemal każdy ma trochę inną wersję, moja osobista jest taka: „Panie Jezu Chryste, Synu Boga żywego, zmiłuj się nade mną grzesznikiem", są też krótsze: „Panie Jezu Chryste, zmiłuj się nade mną", „Jezu zmiłuj się" itp. – tutaj już pewna dowolność, ważne, żeby było w modlitwie zawarte Imię Pańskie) i konsekwentnie się jej trzymać. Formułę można wypowiadać na głos, półgłosem lub w myślach.

4. Na sam początek praktyki ważne jest:

– wybór miejsca spokojnego, w odosobnieniu, w półmroku, przed ikoną, przy zapalonej świecy,

– systematyczność w praktyce poprzez ustalenie pór czasowych (np. codziennie wieczorem),

– początkowo wystarczy powtórzyć 33 razy, potem można liczbę zwiększać do 40, 100, 111 (tradycyjne ilości odmawiania w tradycji Wschodu).

5. Ważne, aby wymawiać Imię Jezusa z miłością i adoracją – wolno, delikatnie, spokojnie (myśleć należy tylko o Imieniu, by zaczęło przebywać w naszym sercu). Nie przejmować się rozproszeniami i ciągle wracać do uważnego powtarzania.

6. Czego unikać: wizji, emocji, wszelkich „osiągnięć", fantazji, rozmyślań.

7. W miarę rozwijania praktyki można, a wręcz zalecają mnisi, aby połączyć praktykę wymawiania Świętego Imienia z oddechem (na wdechu wymawiamy/myślimy: „Panie Jezu Chryste, Synu Boga żywego" – symbol życia, jakie nam

[7] Apoftegmaty Ojców Pustyni T. 1, http://tyniec.com.pl/zrodla-monastyczne/78-apoftegmaty-ojcow-pustyni-t1-9788373541962.html, 09.11.2017 r.

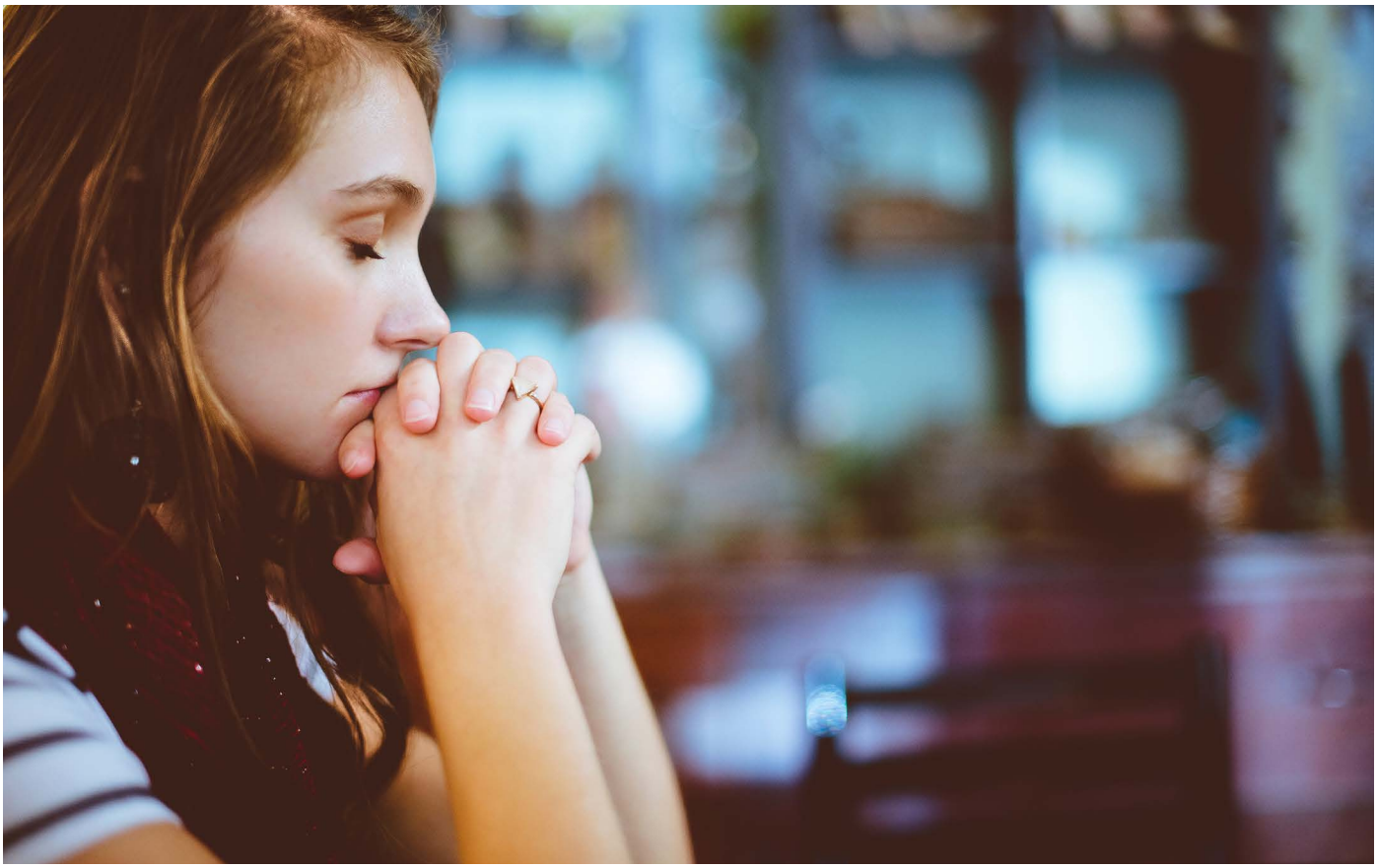

ofiarowuje Wszechmocny; na wydechu: „zmiłuj się nade mną grzesznikiem” – symbol utraty życia, gdy grzeszymy), z pokłonami (wykonujemy głęboki skłon ciała, gdy mówimy/myślimy o Świętym Imieniu), można także używać czotki, ale nie jako narzędzia do liczenia, tylko bardziej ułatwienia w skupieniu.

8. Na koniec warto pozwolić się ogarnąć w pełni Modlitwie Serca i w każdej możliwej sytuacji czy to mówić, czy to myśleć o Świętym Imieniu (w szkole, pracy, w autobusie, w samochodzie, na zakupach)[8].

La Grande Chartreuse

Niewiele osób potrafi w dzisiejszych czasach zrezygnować z medialnego bycia, z komfortu ciszy dłuższej niż kilka, kilkanaście minut. Czy można wyłączyć komputer, telewizor, smartfon, odciąć się od Internetu na tydzień? A może miesiąc? Co z rokiem? A jeśli miałoby to być całe życie? Taką odważną decyzję podjęli mnisi z zakonu kartuzów z La Grande Chartreuse (Wielka Kartuzja), położonej na terenie Masywu Chartreuse we francuskich Alpach Zachodnich. To o nich powstał film „Wielka cisza”. Jest on doprawdy niezwykłym dziełem, skrótem sześciu miesięcy pobytu reżysera w klasztorze, który wspólnie z zakonnikami modlił się, jadł, czytał, wypoczywał, żył. Film – medytacja, przy którym autor tego tekstu za pierwszym razem dwukrotnie zasypiał, a dopiero później odkrył jego głębię i pełnię Słowa. Czego wszystkim czytającym także życzy!

[8] Zob. Modlitwa Jezusowa, https://pl.wikipedia.org/wiki/Modlitwa_Jezusowa, 09.11.2017 r.

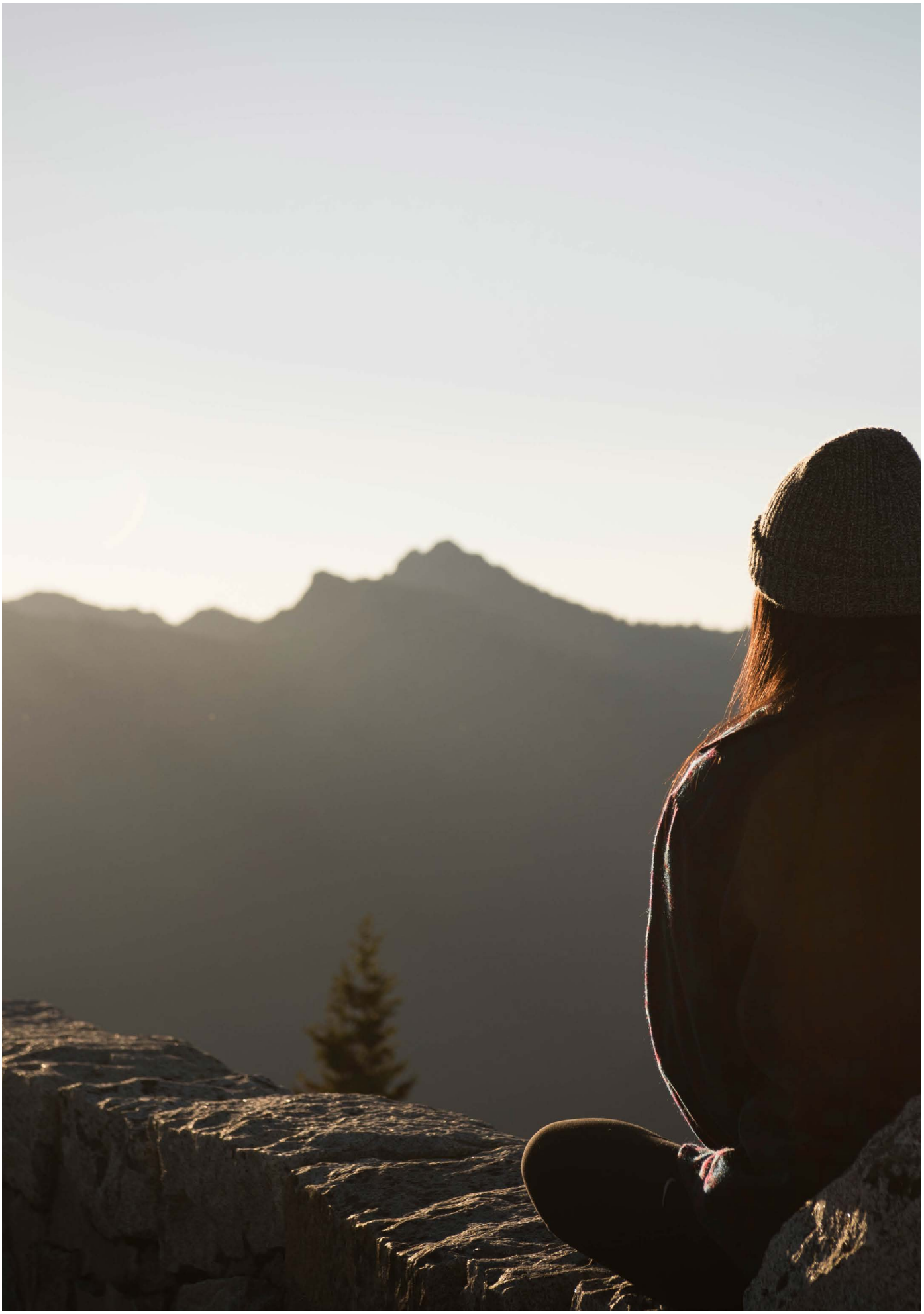

IDZIESZ ZE MNĄ NA RORATY?
memy.pl
memy.pl

RORAAATEE
CAELI DEEESUPEEER
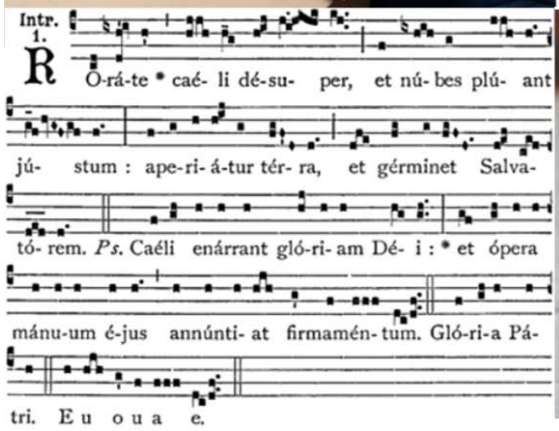
The "chodź ze mną na roraty" starter pack